

**WILLIAM SAROYAN**

# **TRACY I JEGO TYGRYS**

**Przełożyła: Iwona Żółtowska**

## *Rozdział 1*

Thomas Tracy miał tygrysa.

A właściwie czarną panterę, lecz to bez znaczenia, ponieważ uważał ją za tygrysa.

Pantera miała białe zęby.

Oto w jaki sposób Tracy dostał swego tygrysa:

Kiedy miał trzy lata i uczył się nazywać rzeczy, usłyszał, że ktoś woła: Tygrysie! Tracy nie wiedział, co to znaczy, ale zapragnął mieć własnego tygrysa.

Pewnego dnia, chodząc z ojcem po mieście, zobaczył coś dziwnego w oknie rybnej jadłodajni.

- Kup mi tygrysa – powiedział.
- To jest homar – wyjaśnił ojciec.
- W takim razie nie chce go – odparł chłopczyk.

Kilka lat później Tracy poszedł z matką do zoo i ujrzał prawdziwego tygrysa zamkniętego w klatce. Z pewnością tamto zwierze można było nazwać słowem, które chłopiec tak dobrze zapamiętał, ale to nie był jego własny tygrys.

Przez wiele lat Tracy oglądał w słownikach i encyklopediach ilustracje przedstawiające rozmaite zwierzęta; widywał je także na obrazach i w filmach. Były wśród nich dumnie kroczące pantery, lecz Tracy nigdy nie przypuszczał, że któraś z nich stanie się jego tygrysem.

Pewnego dnia wybrał się do zoo. Miał wówczas piętnaście lat; palił papierosy i oglądał się za dziewczynami. Wtedy to niespodziewanie stanął oko w oko ze swoim tygrysem.

Okazała się nim pogrążona we śnie czarna pantera. Zbudziła się natychmiast, uniosła głowę i spojrzała na Tracy'ego; powstała, wydała pomruk właściwy panterom, co zabrzmiało jak 'grrr', i zbliżyła się do rogu klatki. Przez chwilę przyglądała się chłopcu, a następnie ruszyła ku podwyższeniu, na którym przedtem spała. Ułożyła się tam ociężale i popatrzyła w dal, a spojrzenie jej biegło w przestwór lat i odległości tak długo i daleko, jak lata i odległości istnieją w przestworzach.

Tracy stał przy klatce, obserwując czarną panterę. Patrzył na nią przez całe pięć minut, potem wyrzucił niedopałek papierosa, odchrząknął, splunął i opuścił zoo.

- To jest właśnie mój tygrys – powiedział.

Nigdy już nie wrócił, żeby popatrzeć na swego tygrysa; wcale nie było mu to potrzebne. Miał go. Miał go na własność, bo przez pięć minut obserwował tamto zwierzę patrzące w dal z obojętnością i dumą – jak to zwykle tygrysy.

## Rozdział 2

Tracy miał dwadzieścia jeden lat, kiedy przyjechał z tygrysem do Nowego Jorku. Dostał pracę u Otto Seyfanga, handlarza kawą z Warren Street na Washington Market. Większość firm w tej okolicy zajmowała się magazynowaniem produktów rolnych. Tracy mógł więc nie tylko pić za darmo kawę w dziale kontroli u Seyfanga, ale także jeść u innych darmowe jarzyny i owoce.

Zajęcie Tracy'ego nie wymagało szczególnych umiejętności. Jego pensja była niska, ale pracował dobrze i uczciwie. Na początku niełatwo mu było wziąć na plecy pięćdziesięciokilogramowy worek z ziarnami kawy i nieść go pięćdziesiąt metrów, ale po tygodniu nabrał wprawy i nawet tygrys patrzył z podziwem, jak łatwo Tracy przerzuca ciężary.

Pewnego dnia Tracy poszedł do swego bezpośredniego przełożonego nazwiskiem Valora, by porozmawiać o przyszłości.

- Chcę zostać kiperem – powiedział Tracy.
- Kto pana do tego namówił? – zapytał Valora.
- Do czego?
- Żeby pan został kiperem.
- Nikt.
- Co pan wie o tej pracy? – dopytywał się Valora.
- Lubię kawę – odrzekł Tracy.
- Ale co pan wie o pracy kiperów? – niecierpliwił się Valora
- Zaglądam czasami do działu kontroli.
- A więc pił pan kawę i jadł pączki w dziale kontroli, jak wszyscy inni, którzy nie pracują jako kiperzy...
- Jeśli kawa była dobra wiedziałem to – przerwał mu Tracy. – Jeśli była zła, też to wiedziałem.
- Skąd pan wiedział?
- Bo jej próbowałem.
- Jest u nas trzech kiperów: Nimmo, Peberdy i Ringert – powiedział Valora. – Pracują dla Otto Seyfanga dwadzieścia pięć, trzydzieści trzy i czterdzieści jeden lat. Jak długo pan tu pracuje?
- Dwa tygodnie.
- I chce pan zostać kiperem?
- Tak, proszę pana.
- Zamierza pan wspiąć się na szczyt piramidy po dwóch tygodniach?
- Tak, proszę pana.
- Nie chce pan czekać na swoją kolej?
- Nie, proszę pana.

W tej właśnie chwili sam Otto Seyfang wszedł do biura. Valora natychmiast zerwał się z krzesła, ale siedemdziesięcioletni Otto Seyfang wcale sobie nie życzył, by na jego widok pracownicy stawali na baczność.

- Niechże pan siada, Valora! Proszę dalej! O burknął.

- Dalej? – zapytał Valora

- No dalej, chyba panu przerwałem, niech pan nie udaje idioty – niecierpliwił się Otto Seyfang.

- Właśnie rozmawiałem z naszym nowym pracownikiem, który stara się o posadę kiperą.

- Dalej.

- Pracuje u nas od dwóch tygodni i już chce zostać kiperem.

- Proszę dalej, niech pan to z nim omówi – powiedział Otto Seyfang.

- Tak, proszę pana – rzekł Valora i zwrócił się do Tracy'ego: - Pracuje pan dla firmy zaledwie dwa tygodnie – powiedział – a zachciewa się panu posady, o którą Nimmo, Peberdy i Ringert starali się odpowiednio dwadzieścia, dwadzieścia pięć i trzydzieści lat. Zgadza się?

- Tak, proszę pana.

- Ledwie pan zaczął pracować u Otto Seyfanga, a już chce pan dostać najlepszą posadę?

- Tak, proszę pana.

- I wie pan wszystko o kawie i pracy kiperą?

- Tak, proszę pana.

- Jak smakuje dobra kawa?

- Jak kawa.

- A jak smakuje najlepsza kawa?

- Jak dobra kawa.

- Co odróżnia dobrą kawę od najlepszej kawy?

- Reklama.

Valora spojrział na Otto Seyfanga, jakby chciał zapytać: Co by pan zrobił z tym zrozumiiałym przybłądą? Ale Otto Seyfang nie chciał się wtrącać. Po prostu czekał, co zrobi Valora.

- Nie ma wolnych posad w dziale kontroli – oznajmił urzędnik.

- A kiedy będą wolne posady? – zapytał Tracy.

- Jak tylko umrze Nimmo – odparł Valora. – Ale jest jeszcze trzydzieści innych osób, które dłużej niż pan czekają na tę pracę.

- Nimmo prędko nie umrze – powiedział Tracy.

- Powiem mu, żeby się pospieszył – oznajmił Valora.

- Nie chcę, żeby Nimmo się spieszył.

- Ale chętnie przyszedłby pan na jego miejsce?

- Nie, proszę pana – powiedział Tracy. – Chcę, żeby było czterech kiperów w dziale kontroli.

- I pan zamierza być tym czwartym? – zapytał Valora. – A co na to Shively, który jest następny w kolejce?

- W jakiej kolejce?

- W kolejce ubiegających się o posadę kipera – powiedział Valora. – Zamierza pan dostać tę pracę i wepchnąć się przed Shively’ego?

- Nie chcę dostać tej pracy tylko dlatego, żeby się przed niego wepchnąć – odparł Tracy. – Chcę wejść do działu kontroli, ponieważ umiem ocenić smak kawy i wiem, kiedy jest dobra.

- Naprawdę?

- Tak, proszę pana.

- Skąd pan pochodzi?

- Z San Francisco.

- Dlaczego pan tam nie wraca?

Valora znów spojrzał na Otto Seyfanga.

- Chyba wystarczy, prawda szefie? – powiedział.

Ani Valora, ani Otto Seyfang nie mieli pojęcia, że rozmawia z nimi tygrys Tracy’ego a nie sam Tracy.

Początkowo Otto Seyfang pomyślał, że mógłby zrobić wszystkim taką samą niespodziankę jak pewna postać z przedstawienia, które nigdyś oglądał. Zaskoczyłby Valorę, a może nawet Tracy’ego. Od razu jednak przyszło mu do głowy, że nie jest na scenie, tylko w swojej firmie, i zajmuje się nie sztuką, lecz interesami. Naprawdę wierzył przez moment, że warto zatrudnić Tracy’ego jako czwartego kipera, ponieważ chłopak miał dość tupetu żeby przyjść do Valory i wyłożyć mu, co następuje: on, Tracy, wie dokładnie, kiedy kawa jest dobra i potrafi określić jej smak, a przede wszystkim umie ruszyć głową. Na przykład, zna się na reklamie. „A właściwie cóż to za żart, jeśli się nad tym dokładniej zastanowić – rozmyślał Otto Seyfang. – Jakiś smarkacz przyjeżdża z Kalifornii, jest wygadany i przytomnie odpowiada na głupie pytania. Sądzi pewnie, że szef powinien od razu dać mu wszystko, czego zażąda, i wyprowadzić go na ludzi. Ale kim naprawdę jest ten chłopak? czy on zna się na kawie? czy nią żyje, czy dla niej tylko istnieje? o nie. To po prostu cwaniak”.

Otto Seyfang postanowił, że nie będzie żadnych niespodzianek.

- Czym się pan zajmuje? - zapytał.

- Piszę piosenki – odparł Tracy.

- Ach! Chcę wiedzieć, czym się pan zajmuje w firmie Otto Seyfanga – wyjaśnił stary człowiek. – Wie pan, kim jestem?

- Nie, proszę pana – rzekł Tracy. – Kim pan jest?

- Jestem Otto Seyfang.

- A pan wie, kim ja jestem?
- Kim pan jest?
- Jestem Thomas Tracy.

„To moja firma – pomyślał Otto Seyfang. – Mam ją od czterdziestu pięciu lat. A co pan ma?”

„Tygrysa” – pomyślał Tracy, odpowiadając na pytanie Seyfanga.

Tak sobie pomyśleli i zaraz wrócili do rozmowy.

- Czym się pan zajmuje w mojej firmie? – zapytał ponownie starszy pan.
- Jestem tragarzem – wyjaśnił Tracy.
- Chce pan tu nadal pracować? – dopytywał się Otto Seyfang.

Tracy wiedział dokładnie, co zamierza odpowiedzieć tygrys i bardzo chciał to usłyszeć. Nagle jednak odkrył, że znudzone zwierzę zasnęło.

Tracy usłyszał swój głos:

- Tak, proszę pana, chciałbym tu nadal pracować.
- No to wynoś się pan do diabła i wracaj do swojej roboty – wybuchnął Otto Seyfang. –

A jeśli zobaczę, że pan tu przyłazi, żeby wygadywać brednie i marnować cenny czas Valory, natychmiast pana zwolnię. Valora sam wie, jak marnować czas, i nie trzeba mu w tym pomagać. Dobrze mówię, Valora?

- Tak, proszę pana.

Tracy wrócił do roboty, a uśpiony tygrys został pod biurkiem Valory.

Kiedy się wreszcie obudził, przyszedł do Tracy’ego, ale ten wcale nie chciał z nim rozmawiać.

- Grrr – zagadnął tygrys, mając nadzieję, że człowiek puści w niepamięć urazę.
- Grrr, nie zawracaj mi głowy – rozzłościł się Tracy. Zakpiłeś sobie z kumpla.

Myślałem, że się z nimi dogadasz. Nie przypuszczałem, że zaśniesz. Kiedy mnie zapytał, czy chcę nadal pracować, spodziewałem się, że powiesz coś rozsądnego. I ty się uważasz za tygrysa?

- Kłopot – mruknął niezrozumiale tygrys.
- Kłopot – zdenerwował się Tracy. – Zabieraj się stąd.

Wściekał się przez cały dzień, przerzucając worki w zupełnym milczeniu. Nigdy jeszcze tygrys nie uległ pokusie, by zasnąć w takiej chwili, choć rzeczywiście sytuacja aż się prosiła o złe zachowanie. Tracy’emu wcale to nie odpowiadało. Bardzo się martwił, że stworzenie odziedziczyło po przodkach jakieś złe skłonności.

Po pracy Tracy poszedł z Nimmo do metra. Starszy pan przez całą drogę zachowywał się niespokojnie, ponieważ w ciągu dnia wypił dużo kawy. Był niemal w wieku Otto Seyfanga. Nie miał tygrysa, nie przypuszczał nawet, że mógłby go mieć. Nimmo stał Shively’emu na drodze do awansu, a Shively zawadzał trzydziestu ośmiu innym pracownikom firmy Otto Seyfanga.

Tracy przepracował uczciwie cały dzień, a na dodatek wymyślił trzy linijki nowej piosenki. Uznał, że pozostanie jeszcze trochę u Otto Seyfanga, póki tygrys nie zmądrzeje. nie będzie jednak stał nikomu na drodze i nie utknie w żadnej kolejce.

Wyszedł z metra i ruszył na Broadway. Postanowił napić się kawy i wstąpił na filiżankę. Był doświadczonym kiperem i doskonale o tym wiedział. Nie miał zamiaru czekać przez trzydzieści pięć lat, żeby tego dowieść. Wypił drugą filiżankę, potem trzecią, smakując napój zupełnie jak prawdziwy kiper.

### Rozdział 3

Tygrys Tracy'ego rozglądał się czasami, mając nadzieję, że ujrzy jakąś młodą tygrysicę, która przyjmie chętnym sercem wszystko, co mogłoby wynikać z ich spotkania; wypatrywał oczy, ale bardzo rzadko spotykał podobne mu istoty. Widywał prawie wyłącznie dziczące kotki. Kiedy już udawało mu się zobaczyć jakąś tygrysicę, zazwyczaj bardzo się spieszył i ledwie miał czas, by odwrócić głowę i obejrzeć się; nie mógł przystanąć ani na chwilę. Sytuacja była niewesoła i tygrys chciał o tym pogadać.

- Omotny – powiedział.
- O co ci chodzi? – zapytał Tracy.
- Somotny.
- Nie rozumiem.
- Ach somotny.
- Co to znaczy?
- Somsomotny.
- To nie ma sensu.
- Ach, somsomotny – rzekł cierpliwie tygrys.
- Mów do mnie po ludzku – oświadczył Tracy.
- La – powiedział tygrys.
- To chyba francuski – stwierdził człowiek. – Mów normalnie. Wiesz, że nie znam francuskiego.
- Niedola.
- Jaka niedola?
- Nie.
- Dlaczego skrucasz wyrazy? – denerwował się Tracy. – Mów pełnymi zdaniami, wtedy zrozumie, o co ci chodzi.
- N – rzekł tygrys.
- Potrafisz mówić dużo lepiej – oświadczył Tracy. – Albo rozmawiaj po ludzku, albo się zamknij.

Tygrys się zamknął.

Tracy zastanawiał się, co właściwie tygrys chciał mu powiedzieć; dopiero później zrozumiał.

Było to w czasie przerwy obiadowej. Tracy przystanął w słońcu u wejścia do składu Otto Seyfanga i przysłuchiwał się rozmowie Nimmo, Peberdy'ego i Ringerta. Wszyscy trzej gadali o tym, ile osiągnęli w swojej branży jako godni zaufania kiperzy. Tracy daremnie próbował wtrącić się do rozmowy i powiedzieć o piosence, którą właśnie pisał.

Zastanawiał się wciąż nad tym, o co chodziło tygrysowi, gdy na Warren Street pojawiła się dziewczyna w obcisłej, żółtej sukience robionej na drutach. Miała gęste czarne włosy opadające na ramiona. Było ich mnóstwo, po prostu bujna czupryna. Lśniły w słońcu, puszyste i pełne życia. Na



widok dziewczyny tygrys napiął mięśnie, wyciągnął do przodu wąski łeb i wyprężył sztywny, drżący leciutko ogon. Potem rozległ się cichy, dziki pomruk, coś jakby:

- Grrr.

Trzej doświadczeni kiperzy usłyszeli mruczenie i spojrzeli ze zdumieniem na Tracy'ego, bo nigdy dotąd nie doszedł ich uszu równie niezwykły dźwięk.

- Och – powiedział Tracy do tygrysa – rozumiem.

- Grrr – powtórzył tygrys, jakby coś go zabołało, i wyciągnął szyję jeszcze bardziej, a Tracy całkiem utonął w oczach urodziwej panny. Wszystko dokonało się w jednej chwili. Tygrys mrucał, a Tracy coraz bardziej tonął. dziewczyna usłyszała pomruk, zlitowała się nad tonącym, zwolniła kroku i leciutko się uśmiechnęła. Obciągnęła żółtą, robioną na drutach sukienkę i poszła dalej tanecznym krokiem. tygrys zalił się cichutko.

- Czy tak mówią w Kalifornii? – zapytał Nimmo.

- Grrr – odparł Tracy.

- Powiedz to jeszcze raz – domagał się Peberdy.

Tracy, zapatrzony w odchodzącą dziewczynę i tygrysa, który chętnie popędziłby za nią, mruknął znowu.

- Słyszałeś, Ringert? – odezwał się Peberdy. – Tak mówią w Kalifornii, kiedy widzą piękną dziewczynę.

- Daj spokój – rzekł Ringert. – Słyszałem.

- Na pewno słyszałeś – powiedział Nimmo – ale czy umiesz powtórzyć?

- Chyba nie umiem – odparł Ringert – ale żaden z was, kiperów staruchów, nie potrafi.

Starzy mężczyźni przyznali ze smutkiem, że tego nie umieją, a potem wszyscy powrócili do pracy. Tygrys pognął za Tracym w głąb przyległego do ciasnej uliczki składowiska, gdzie ułożono worki z kawą. Przez całe popołudnie Tracy przenosił je z taką łatwością, jakby to były torebki fasoli.

- Nie mam pojęcia, kim jest ta dziewczyna – powiedział do tygrysa – ale na pewno pracuje gdzieś niedaleko, więc jutro zobaczę ją znowu w czasie przerwy. Pojutrze też, a trzeciego dnia pójdziemy razem na obiad.

Tracy przez całe popołudnie zwierzał się tygrysowi, który w odpowiedzi tylko pomrukiwał. Wszyscy byli jeszcze młodzi, więc próbowali je naśladować, ale na próżno. Do tego potrzebny jest tygrys. Mężczyzna nazwiskiem Kalany zbliżył się do Tracy'ego, mrużąc po swojemu, i oświadczył dumnie, że pochodzi z Teksasu, więc żaden Kalifornijczyk mu nie zaimponuje.

- Jutro i pojutrze znów ją zobaczę – powiedział Tracy do tygrysa – a trzeciego dnia pójdziemy razem na obiad.

I rzeczywiście jego plan się udał.

Tego dnia siedzieli razem przy stoliku w małej knajpce i jedli, a tygrys krążył wokół nich na sztywnych łapach. Starał się nie mrużyć i nie przetykać głośno śliny.

- Nazywam się Tom Tracy – oznajmił młody człowiek.

- Wiem – rzekła dziewczyna. – Już to mówiłeś.

- Zapomniałem.

- Rozumiem. Mówiłeś o tym trzy razy. Oczywiście masz na imię Thomas, a nie Tom, prawda?

- Tak – przyznał. – Thomas Tracy. tak się nazywam. I koniec. To znaczy tak brzmi moje imię i nazwisko. Człowiek może powiedzieć o sobie nie tylko, że się jakoś nazywa.

- Nie masz drugiego imienia? – zapytała dziewczyna.

- Nie – odparł Tracy. – Jestem po prostu Thomas Tracy. W skrócie Tom, jeśli chcesz, żeby było krótko.

- Wcale nie – odpowiedziała.

- Nie? – zapytał Tracy.

Te słowa miały dla niego ogromne znaczeni. Był wzruszony i pełen nadziei, że oznaczają wspaniałą przyszłość. Tak bardzo wzruszony, że przez chwilę nie zwracał uwagi na tygrysa, który zapatrzył się w coś i drżał z radości. Tracy spojrział w tę samą stronę i zobaczył tygrysicę.

- Nie? – zapytał ponownie.

- No właśnie – odparła dziewczyna. – Podoba mi się nazwisko Thomas Tracy. Tak jest dobrze. Nie zapytasz, jak ja się nazywam?

- Jak? – rzekł Tracy zduszonym głosem.

- Laura Luthy – odparła dziewczyna.

- Och – jęknął Tracy. – Och, Laura Luthy.

- Podoba ci się? – zapytała.

- Czy mi się podoba? – odpowiedział Tracy. – Och, Lauro, Lauro Luthy.

Tygrysy krążyły wokół Laury Luthy i Thomasa Tracy’ego, gdy jedli obiad; biegały wokoło, gdy wstali i podeszli do kasy. Tracy rzucił osiemdziesiąt pięć centów, płacąc za oba posiłki.

Jakie znaczenie miały teraz dla niego pieniądze?

NA ulicy ujął rękę Laury. przeszli obok składu Otto Seyfanga mijając Nimmo, Peberdy’ego i Ringerta, którzy stali jeszcze przed wejściem. Tygrysy kroczyły godnie obok siebie. Thomas odprowadził Laurę do biura, w którym pracowała jako stenografka; mieściło się o dwie przecznice od firmy Seyfanga, w pobliżu doków.

- Do jutro? – zapytał, sam nie wiedząc, co chce przez to powiedzieć. Miał nadzieję, że Laura wie.

- Tak – odpowiedziała.

Tygryś Tracy’ego mrucał. tygryśica Laury nieznacznie się uśmiechnęła, pochyliła głowę i odeszła.

Tracy wrócił do składu Otto Seyfanga. Kiperzy czekali na niego przed budynkiem.

- Tracy – oznajmił Nimmo – chciałbym pożyczyć jeszcze trochę i zobaczyć, co z tego będzie.

- Pożyjesz – rzucił Tracy. Powiedział to ze złością, ale szczerze. – Jasne, że pożyjesz, Nimmo, teraz musisz.

Tygrys stał pośrodku chodnika i patrzył w dal.

Po pracy Tracy znalazł go dokładnie w tym samym miejscu. Zatrzymał się również, utrudniając przejście spieszącym do domu ludziom. Tracy i jego tygrys długo stali tak razem, potem mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę metra, a tygrys niechętnie powłókł się za nim.

#### Rozdział 4

Laura Luthy mieszkała na Far Rockaway. Soboty i niedziele spędzała w domu z matką.

Matka Laury była chyba jeszcze ładniejsza niż córka. Obie nieustannie i skrycie ze sobą rywalizowały, przeglądając się w lustrach rozwieszonych po całym domu i wymieniając uwagi o aktorach filmowych i teatralnych, o sąsiadach i mężczyznach spotkanych w kościele. (Kościół stał po drugiej stronie ulicy, mogły więc przyglądać się wchodzącym tam mężczyznom. W soboty i niedziele obserwowały ich razem, a przez resztę dni matka Laury robiła to sama albo, jako że miała swobodę wyboru, zajmowała się czymś innym. Od czasu do czasu zdarzało jej się ujrzeć przystojnego i całkiem przyzwoitego pana, który szedł późnym popołudniem do kościoła, by się wypowiadać albo złożyć ofiarę.)

Rywalizacja matki i córki rozwijała się nadzwyczaj obiecująco i nie miał na to żadnego wpływu fakt, że codziennie wieczorem w domu zjawiał się Oliver Luthy, ojciec Laury, który pracował w biurze na Manhattanie i od dwudziestu czterech lat dzielił łóżko z panią Luthy czyli Violą.

Pan Luthy od dawna siedział w księgowości. Wytrwał na jednej posadzie równie długo, jak w łóżku jednej kobiety, a mianowicie pani Luthy. To ona domagała się, żeby przyjął tę pracę, twierdząc, że woli go widzieć raczej w księgowości niż we flocie handlowej. Tam właśnie pracował, kiedy ją poślubił.

Był w tej branży tylko zwykłym urzędnikiem, ale jego żona z uporem przekonywała wszystkich, że zajmował się wówczas handlem zamorskim. W ten sposób mogła sobie wyobrażać, że Oliver trudnił się dawniej sprzedawaniem bydła, traktorów albo nawet statków. Czasami wierzyła, że inni podzielają te złudzenia, nietrwałe jak morska piana, i nigdy się nie spieszyła, żeby je rozwiewać. Pierwsze wrażenie mijało wprawdzie bardzo szybko, lecz na krótką chwilę dodawało rodzinie niemałego, choć próżnego splendoru.

Przystojni mężczyźni, o których niewiele było wiadomo, dość często odwiedzali państwa Luthy. Mieli w sobie coś interesującego. W porównaniu z ludźmi, o których gazety piszą w kronice towarzyskiej, wydawali się trochę nieokrzesani. Kiedy jednak odsłonili swe prawdziwe ja i opowiedzieli trochę o sobie, zachęceni uprzejmymi pytaniami Violi, okazywało się, że wcale nie są tacy ordynarni. Gdyby nie przeszkodził im zły los, byłiby zapewne ludźmi na poziomie.

Starannie planowano te wizyty, składane zazwyczaj w niedzielę po południu. Pewnego dnia podczas takich odwiedzin coś szczególnego przydarzyło się Violi, ale nikomu o tym nie powiedziała. Musiała pójść na chwilę do sypialni po stary egzemplarz *Reader's Digest*, w którym zamieszczono artykuł o transporcie i wracała już do bawialni, żeby pokazać go mężczyźnie nazwiskiem Glear, kiedy właśnie pan Glear, wychodząc akurat z toalety, gdy tylko zobaczył Violę, chwycił ją w objęcia i wycisnął na jej ustach coś w rodzaju pocałunku. Zapamiętała przyjemną woń Sen-Sen. Pomyślała wtedy, że gdyby przystojny pan Glear dostał się do filmu, grałby pewnie rolę urzędników. To wydarzenie przekonało Violę, że nadal może się podobać i że zrobiła ogromne wrażenie na energicznym mężczyźnie o urodzie aktora filmowego. Dwa ciężkie lata przeżył pan Luthy, znosząc jej

humory. Z czasem zapomniała, jak wyglądał pan Glear i uznała, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, że nazywał się nie Glear, tylko Sherman.

- Co się dzieje z tym przystojnym panem Shermanem? - zapytała kiedyś męża.

Pan Luthy odpowiedział, że postawili mu pomnik w parku w Savannah.

Thomas Tracy również miał odwiedzić dom państwa Luthy na Far Rockaway w niedzielne popołudnie.

Tygrys niepokoił się przez całą drogę i nie mógł się doczekać ponownego spotkania z tygrysią Laury. Gdy tylko obaj weszli do domu, zaczęły się dziać niezwykle rzeczy.

Tracy popatrzył na Violę, matkę Laury, a Viola popatrzyła na Tracy'ego. I nie było to całkiem zwyczajne spojrzenie. Łatwo zrozumieć, dlaczego Tracy patrzył na Violę, bo na taką kobietę jak ona trudno było nie patrzeć. Ale choć wyglądała tak samo jak Laura, czas, który przeżyła, niczym jej nie obdarował, a nudna bezmyślność uczyniła z niej kobietę jeszcze bardziej niegodziwą.

Laura zauważyła spojrzenia, które wymienili Tracy i jej matka. Zerknęła na ojca, który spostrzegł, że coś ciekawego dzieje się w kościele po drugiej stronie ulicy. Viola wysłała Oliviera po lody. Był z tego bardzo zadowolony. Po drodze do sklepu zamierzał wstąpić do kościoła i sprawdzić, co się tam odbywa.

Kiedy pan Luthy wyszedł z domu, Viola podała Thomasowi pudełko czekoladek, prosząc, by się poczęstował, ale jej słowa znaczyły coś więcej. Laura udawała, że cieszy się widząc, jak bardzo oboje przypadli sobie do gustu. Przeprosiwszy ich, wysłała na chwilę, by odszukać świadectwo z kaligrafii, na którym błędnie napisano jej nazwisko: Luty zamiast Luthy.

Laura naprawdę potrzebowała chwili samotności. Tracy i tygrys zostali sami z panią Luthy i jej czekoladkami.

Tracy brał czekoladkę za każdym razem, gdy Viola podsuwała mu pudełko. Zjadł ich sześć, po czym, nie wiadomo dlaczego, podniósł się nagle i wziął sobie od niej wszystko.

Zdziwił się, bo jego postępek wcale nie zaskoczył Violi, przeciwnie - tego się chyba po nim spodziewała. Uczynił dokładnie to samo, co kiedyś pan Glear, a mianowicie rzucił się na bezmyślną kobietę i wycisnął na jej ustach coś jakby pocałunek. Pani Luthy poczuła od razu, że młody mężczyzna nie pachnie zbyt przyjemnie. Tracy odsunął się na chwilę, żeby przepuścić rozwścieczonego tygrysa, który natychmiast zawrócił i znów trzeba było usunąć mu się z drogi. Dopiero po chwili Tracy mógł ponownie sprawdzić co wie o pocałunkach.

Gdy Laura Luthy weszła do pokoju, mężczyzna wciąż jeszcze eksperymentował.

Najpierw próbował udawać, że zajmuje się czymś zupełnie innym niż na to wygląda, ale nie miał pojęcia, co właściwie mógłby robić.

Popatrzył na stojącą obok Laury tygrysię, która spoglądała na niego ze zdumieniem i wstrętem. Daremnie szukał wzrokiem drugiego tygrysa. Nie było go w pokoju.

Tracy chwycił kapelusz i wyszedł.

Na ulicy zobaczył pana Luthy nadchodzącego z lodami od strony kościoła. Zawrócił i popędził w przeciwnym kierunku.

Dotarł aż na zatłoczony w niedzielne popołudnie Broadway. Dopiero tam dołączył do niego tygrys i dalej poszli już razem.

- Nie rób tego więcej - powiedział Tracy.

Następnego dnia w czasie przerwy obiadowej Tracy czekał przed składem Otto Seyfanga, mając nadzieję, że ujrzy Laureę, ale dziewczyna nie pojawiła się.

I tak było przez cały tydzień.

## Rozdział 5

- Jak ci idzie? - Nimmo wypytywał Tracy'ego w piątkowe popołudnie..

- Piosenka? - upewnił się Tracy.

- Nie - odparł Nimmo. - Komu zależy na twojej piosence? Jak ci idzie z tą śliczną brunetką w jasnożółtej sukience?

- Grrr - mruknął Tracy.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Nimmo.

- Byłem u Laury na Far Rockaway w tamtą niedzielę i poznałem jej matkę - powiedział Tracy.

- Poczęstowała mnie czekoladkami i zjadłem aż sześć. Nienawidzę czekoladek, ale ciągle mi je podsuwała, więc brałem i jadłem. Obawiam się, że nie wygląda to najlepiej.

- Dlaczego? - dopytywał się Nimmo.

- Widzisz - opowiadał Tracy - jadłem te czekoladki, ojciec poszedł po lody, córka szukała świadectwa z kaligrafii, a ja rzuciłem się na matkę i pocałowałem ją.

- Coś ty? - rzekł Nimmo.

- Tak było - odparł Tracy.

Stary kiper dostał okropnej czkawki.

- Co ci jest? - zapytał Tracy.

- Nie wiem - odpowiedział Nimmo.

- Lepiej idź do domu i połóż się - radził Tracy.

- Nie, nic mi nie jest - rzekł Nimmo. - Opowiedz dokładnie, co się stało. Muszę wiedzieć.

- Było tak, jak mówiłem - powiedział Tracy. - Chyba zaszkodziły mi te czekoladki, zupełnie jakbym po nich oszalał.

- I co teraz zrobisz? - zapytał Nimmo.

- Jakoś się z tym uporam - odparł Tracy.

- Ale jak?

- Pewnego dnia stanę przed składem w czasie przerwy obiadowej - mówił Tracy - i zobaczę na Warren Street inną dziewczynę podobną do Laury Luthy. A kiedy odwiedzę ją w domu i poznam jej matkę, nie będę jadł żadnych czekoladek.

- Nie ma drugiej takiej dziewczyny jak Laura Luthy - oznajmił Nimmo. - Chyba wezmę się już do roboty. Kawa czeka.

- Masz jeszcze dwadzieścia minut przerwy - przypomniał mu Tracy.

- Pójdę już - uznał Nimmo. - Po co mam tu sterczeć? Nie ma na co czekać.

Nimmo był już w drzwiach, gdy usłyszał jęk Tracy'ego. Odwrócił się i zobaczył, że mija ich śliczna brunetka. Szedł z nią jakiś młody mężczyzna, który na pewno nie pochodził z Kalifornii; wyglądał na księgowego.

Nimmo odwrócił się, nie kryjąc rozgoryczenia, ale Tracy gapił się na tych dwoje z niedowierzaniem.

Próbował się uśmiechnąć, lecz nie mógł.

Laura Luthy przeszła obok i wcale na niego nie spojrzała.

Nimmo nadal miał czkawkę i dlatego poszedł wcześniej do domu. Następnego dnia nie zjawił się w pracy. W Poniedziałek rano Shively znalazł się nareszcie w dziale kontroli. Przyszedł do pracy w niedzielnym garniturze z niebieskiej serży. Nimmo umarł.

Ludzie mówili, że zmarł, bo miał czkawkę. Są tacy, którzy myślą, że wystarczy dostać kataru, by umrzeć.



## Rozdział 6

Ileż serc złamano dawno temu, ilu ludzi właśnie teraz łamie komuś serce, ile serc pęknie w czasach, które dopiero nadejdą; Nimmo odszedł z tego świata. Laura Luthy stracona na zawsze, Shively dostał się wprawdzie do działu kontroli, ale Peberdy i Ringert mają go za nic, często podają w wątpliwość jego umiejętności i spoglądają na siebie porozumiewawczo.

Trzy wersy piosenki Tracy'ego okazały się niewiele warte, jak mnóstwo rzeczy na tym świecie. Piosenka została zapomniana, niewielki świstek papieru, na którym Tracy tak starannie zapisał jej słowa, gdzieś przepadł, melodia poszła w niepamięć.

Tracy i jego tygrys wybrali się w niedzielę do kościoła pod wezwaniem Świętego Patryka przy Piątej Alei, rozpaleni gorliwością wiary starożytnej, pełnej tajemnic i właściwie całkiem nieznaną; obu doskwierała samotność, jednemu ludzka, drugiemu tygrysia.

Poszli i wszystkiemu dokładnie się przyjrzeni.

W sobotę Tracy zrezygnował z pracy u Otto Seyfanga i wrócił do San Francisco.

Minęło trochę czasu.

Pewnego dnia Tracy, który miał już dwadzieścia siedem lat, wrócił do Nowego Jorku. Znow spacerował ulicami, jak przed sześciu laty.

Poszedł na Broadway, a potem skręcił w Warren Street. Dotarł aż do miejsca, gdzie znajdowała się kiedyś firma Otto Seyfanga; teraz były tam jakieś magazyny, a na szyldzie widniało nazwisko Keeney.

Czy to oznaczało, że handel kawą już się nie opłaca, a ludziom z tej branży nie najlepiej się wiedzie? Nimmo, Peberdy, Ringert, Shively, Seyfang - czyżby im również się nie powiodło?

Tygrys zamarł, ujrawszy drzwi budynku. Dokładnie tutaj stał kiedyś przez całe popołudnie, wypatrując Laury Luthy, która odeszła.

Tracy przyspieszył kroku. Byle dalej od magazynu Keeneya. Zatrzymał taksówkę. Wsiadł przy gmachu Biblioteki Publicznej.

Młody człowiek i jego tygrys poszli dalej pieszo. Na Piątej Alei, jak kiedyś, roіło się od przechodniów w niedzielnych strojach - mężczyzn, kobiet i dzieci.

Tracy nie znalazł dotąd dziewczyny, która mogłaby zająć miejsce Laury Luthy. Nimmo przepowiedział, że nigdy jej nie znajdzie i pewnie miał rację.

Tracy zatrzymał się na skrzyżowaniu, o jedną przecznicę od kościoła Świętego Patryka. Zwrócił uwagę na małego chłopca i jego siostrzyczkę, którzy przechodzili przez jezdnię. Tygrys stanął obok niego mężczyzna pogłaskał go po głowie.

- Szkoda, że nie są moje - powiedział człowiek.

- Grrr - odparł tygrys.

Szli wolno obok siebie. Tracy spostrzegł ze zdumieniem, że ludzie idący dotychczas po tej samej stronie ulicy przebiegają szybko przez jezdnię. Na chodniku zebrał się już spory tłum przechodniów, którzy obserwowali Tracy'ego, a nawet robili mu zdjęcia.

Uznał naiwnie, że dołączy do nich i sprawdzi, co spowodowało całe to zamieszanie, ale gdy tylko zbliżył się do krawężnika, ludzie zgromadzeni po przeciwnej stronie ulicy zaczęli uciekać. Niektórzy krzyczeli, jakieś kobiety piszczały.

Tracy obejrzał się i popatrzył na tygrysa.

Miał go przez większą część życia, ale jeszcze nie spotkało ich nic podobnego.

Dotąd jedynie on widział swego tygrysa.

Czy to możliwe, by zwierzę stało się widzialne dla innych, dla wszystkich?

Prowadzone na smyczy psy zaczęły szczekać, ujadać i wrywać się. To również było coś nowego. Tracy stał na środku Piątej Alei i czekał, aż przejedzie autobus. Zdziwił się ogromnie, ujrawszy twarze kierowcy i pasażerów.

- I co ty na to? - powiedział Tracy do tygrysa. - Jestem przekonany, że cię zobaczyli. Na pewno cię widzą, dokładnie tak samo, jak ja od tylu lat. Popatrz tylko na nich, są przerażeni, boją się śmiertelnie. Dobry Boże, powinni wiedzieć, że nie mają wcale powodu do obaw.

- Grrr - odparł tygrys.

- Świetnie radzisz sobie z mówieniem. Dawno nie szło ci tak dobrze, chyba od czasu, gdy byliśmy u Otto Seyfanga, a Laura Luthy tanecznym krokiem przechadzała się po Warren Street.

Tracy i jego tygrys wędrowali dalej Piątą Aleją, aż znaleźli się przy katedrze Świętego Patryka. Tracy zamierzał wstąpić z tygrysem do kościoła, tak samo jak przed sześciu laty. Zaledwie postawił stopę na jezdni, by przejść na drugą stronę, a już kilka osób stojących przed drzwiami katedry rzuciło się do ucieczki. Ludzie zaczęli wychodzić z kościoła. Tracy i jego tygrys spóźnili się na nabożeństwo, lecz mimo to postanowili wejść do środka. Chcieli przejść główną nawą w stronę ołtarza, rozejrzeć się, jak kiedyś, po pięknym wnętrzu katedry, cudownie wyniosłym i rozświetlonym, popatrzeć na witrażowe okna, gotyckie filary i zapalone świece.

Ludzie opuszczający świątynię zachowywali się początkowo całkiem spokojnie. Nagle ogarnęła ich panika. Niektórzy uciekali w boczne ulice, inni rozbiegli się po Piątej Alei, a kilka osób wróciło do kościoła, żeby się tam ukryć.

- To bardzo przykre - powiedział Tracy. - Nie zdarzyła się dotąd podobna sytuacja, sam wiesz najlepiej.

- Grrr - odparł tygrys.

- Idziemy do kościoła - zdecydował Tracy.

Położył dłoń na głowie tygrysa. Weszli razem po schodach i przekroczyli próg wyniosłej katedry.

Była to rzeczywiście piękna budowla, ale przebywający w jej wnętrzu ludzie, nawet ci w sutannach, nie mieli zupełnie szacunku dla tego miejsca. Biegali wkoło szybko i bezładnie.

Tracy i jego tygrys szli wolno główną nawą. Zamknięte w pośpiechu drzwi uchyliły się nieco. Zobaczyli przerażone oczy śledzące każdy ich krok. Po chwili wrota znów się zamknęły. Rozległ się trzask zamków i rygli.

- To bardzo piękne miejsce - odezwał się Tracy - ale sześć lat temu wyglądało zupełnie inaczej, pamiętasz? Było tu mnóstwo ludzi; mężczyźni, kobiety, dzieci, a wszyscy tacy radośni. Teraz jest zupełnie inaczej - boją się śmiertelnie, uciekają, chowają się. Co ich tak przeraziło? Co się z nimi stało?

- Grrr - odparł tygrys.

Tracy i jego tygrys wyszli z kościoła bocznymi drzwiami prowadzącymi na 50. Ulicę. Tracy zauważył od razu stojący w pobliżu opancerzony samochód. Lufy karabinów były w nich wycelowane. Rozejrzał się i koło Madison Avenue dostrzegł jeszcze jeden taki wóz. Spojrzał w przeciwną stronę i na rogu zobaczył dwa następne. Za opancerzonymi pojazdami gromadziły się tłumy wystraszonych przechodniów, ciekawych, kiedy zacznie się strzelanina i co z niej wyniknie.

Mężczyzna siedzący za kierownicą samochodu zaparkowanego naprzeciwko wrót katedry szybko podniósł szybę, żeby tygrys nie mógł go dosięgnąć.

- Co tu się dzieje? - zapytał Tracy.

- Na Boga, człowieku - zawołał kierowca - chyba pan widzi tego zwierzaka!

- Oczywiście, że widzę - odparł Tracy.

- To pantera, która uciekła z cyrku - oznajmił kierowca.

- Niech pan nie gada głupstw - powiedział Tracy. - To stworzenie nie ma nic wspólnego z cyrkiem. A poza tym jest tygrysem, a nie panterą.

- Odsuń się pan - polecił kierowca. - Nasi ludzie zastrzelą to zwierzę.

- Zastrzelą? - krzyknął Tracy. - Czy pan oszalał?

Ruszył 50. Ulicą w stronę Madison Avenue. Kierowca opancerzonego wozu zapuścił silnik. Auto jechało powoli obok Tracy'ego, a mężczyzna przekonywał go, żeby nie zasłaniał strzelcom tygrysa.

- Odsuń się, człowieku - namawiał.

- Niech pan stąd odjedzie - zawołał Tracy. - Zaprowadź pan tę swoją fortecę do banku albo do garażu, tam gdzie pan ją zwykle trzyma.

- Proszę się odsunąć, bo i tak będziemy strzelać - ostrzegł kierowca. - Sam pan tego chciał.

Tracy usłyszał huk wystrzału. Spojrzał na zwierzę, chcąc się upewnić, czy nie jest ranne. Tamci nie trafili, ale tygrys, usłyszawszy okropny hałas, popędził w panice ku Madison Avenue.

Biegł bardzo szybko, szybciej niż Tracy mógł to sobie wyobrazić. Kiedy minął opancerzony samochód zaparkowany na 50. Ulicy, rozległ się kolejny strzał. Tygrys podskoczył, upadł i znów poderwał się do biegu. Tracy zauważył, że zwierzę podkurczyło przednią prawą łapę. Tygrys wbiegł w Madison Avenue, skręcił w stronę budynków mieszkalnych i zniknął pomiędzy nimi. Najbliżej zaparkowane auto uczestniczące w obławie natychmiast ruszyło za nim z pełną szybkością, ale okazało się zbyt powolne.

Tracy również gonił swojego tygrysa.

Na rogu zatrzymała go trójka policjantów. Wepchnęli młodego mężczyznę do opancerzonej furgonetki i odjechali.

- Czemu chcecie zabić mojego tygrysa? - krzyknął Tracy do kierowcy.

- Wczorajszej nocy to zwierzę poturbowało swego opiekuna i uciekło z cyrku.

- O czym pan mówi? - denerwował się Tracy.

- To na pewno nie jest pański tygrys - powiedział kierowca. - Już my sprawdzimy, co się za tym kryje.

## Rozdział 7

Tracy siedział na krześle (które było własnością Bank of England) pośrodku olbrzymiej sali, wśród kłębiącego się tłumu dziennikarzy, fotoreporterów, policjantów, treserów oraz innych osób zainteresowanych niezwykłą sprawą.

Wmawiano mu, że ścigane zwierze wcale nie należało do niego. Jeśli to prawda, gdzie się podział jego tygrys.

Tracy czuł się samotny.

Zwierzę nie leżało na podłodze u jego stóp.

Przesiedział na krześle ponad godzinę.

Nagle jakaś nowa osoba weszła do sali.

- Doktor Pingitzer - usłyszał Tracy.

Był to niziutki, uśmiechnięty mężczyzna koło siedemdziesiątki.

- A co tu się dzieje? - powiedział od razu do zgromadzonych w sali ludzi.

Odciągnięto doktora na bok. Otoczyli go przeróżni eksperci i zaraz wyjaśnili mu, co było przyczyną całego zamieszania.

- Aha - usłyszał Tracy. Doktor zbliżył się szybko do niego.

- Mój chłopcze - powiedział. - Nazywam się Rudolf Pingitzer.

Tracy wstał i uściśnął dłoń Rudolfa Pingitzera.

- Thomas Tracy - przedstawił się.

- Aha, Thomas Tracy. - Doktor Pingitzer zwrócił się do pozostałych: - Czy i dla mnie znajdzie się krzesło?

Przyniesiono szybko jeszcze jedno krzesło (własność Bank of England).

Stary lekarz usiadł i zagadnął życzliwie:

- Mam siedemdziesiąt dwa lata.

- A ja dwadzieścia siedem - odpowiedział Tracy.

Doktor Pingitzer zabrał się do nabijania fajki. Wysypał na ubranie sporo tytoniu, ale wcale nie miał zamiaru go strzepnąć. Potem zmarnował siedem zapalek, pyknął z fajki dwanaście razy, a wreszcie nie wyjmując jej z ust powiedział:

- Mam żonę lat sześćdziesiąt dziewięć, chłopaka lat czterdzieści pięć, psychiatrę, i drugiego chłopaka lat czterdzieści dwa, też psychiatrę, i jeszcze jednego chłopaka lat trzydzieści dziewięć, psychiatrę, córkę lat trzydzieści sześć, ale ona mówi, że trzydzieści jeden, też psychiatrę, drugą córkę lat trzydzieści jeden, co mówi, że ma dwadzieścia sześć, psychiatrę, mieszkanie, meble, gramofon, fortepian, telewizor, maszynę do pisania, ale w maszynie coś się zepsuło.

- Czemu pan tego nie naprawi? - zapytał Tracy.

- Ach tak - odparł doktor Pingitzer. - Nigdy nie używam maszyny. Jest dla wnuków. Grat. To właśnie mam - głównie psychiatrów.

- Ma pan pieniądze? - dopytywał się Tracy.

- Nie - powiedział doktor Pingitzer. - To kosztowne mieć tylu psychiatrów. Mam książki. No, mam jeszcze łóżko. Do spania. W nocy. Kładę się. Spać. Zawsze jakaś odmiana.

- Ma pan przyjaciół?

- Wielu przyjaciół - zaczął doktor Pingitzer. - Rzecz jasna gdy mówię, że mam przyjaciół.... - staruszek machnął ręką, wydając jakieś dziwne, stłumione odgłosy - rozumie pan, o co mi chodzi - znów niezwykle odgłosy - to jasne. Ale kto wie?

- Chodzi pan do kościoła? - wypytywał Tracy.

- Ach - odparł doktor. - Tak. Przywiązanie. Lubię to. Jest przyjemnie.

Jakiś dziennikarz wysunął się do przodu i rzekł:

- Pan nie ma żadnych pytań, doktorze?

- Aha? - odpowiedział natychmiast psychiatra. - Jak doktor Pingitzer ma rozmawiać, to trzeba opuścić salę.

Pełniący służbę kapitan policji nazwiskiem Huzinga rzekł krótko:

- Wszyscy słyszeliście, co powiedział pan doktor. Wychodzić.

Dziennikarze byli z tego niezadowoleni, ale Huzinga i jego ludzie poprosili zebranych, by wyszli do korytarza. Gdy sala opustoszała, lekarz uśmiechnął się do Tracy'ego, pykając spokojnie z fajeczki, i zasnął. Tracy poczuł się zmęczony, więc również zapadł w drzemkę. Staruszek chrapanął, a Tracy nie.

Po chwili drzwi otworzyły się nagle i jeden z reporterów sfotografował obu mężczyzn drzemiących na krzesłach, które były własnością Bank of England.

Potem wszedł Huzinga i obudził psychiatrę.

- Aha - rzekł lekarz.

Huzinga chciał obudzić również Tracy'ego, ale starszy pan go powstrzymał.

- Nie. To ważne.

- Tak jest, panie doktorze - rzekł Huzinga.

Wyszedł z sali na palcach.

Staruszek usiadł wygodnie i zaczął przyglądać się twarzy młodego człowieka. Po chwili Tracy otworzył oczy.

- Śni mi się, że jestem w Wiedniu - wyznał lekarz.

- Kiedy pan tam był ostatnio? - zapytał Tracy.

- Dwadzieścia lat temu - rzekł doktor Pingitzer. - Dawno, dawno temu. Lody bardzo lubięm. Waniliowe.

- Lubi pan kawę? - wypytywał go Tracy.

- Kawę? - ucieszył się doktor Pingitzer. - Jestem z Wiednia. Ja żyję kawą. Aha - krzyknął, by usłyszano go za drzwiami. - Poproszę o kawę.

Huzinga wysłał policjanta po dzbanek kawy i dwie filiżanki.

- Doktor się na tym zna - powiedział Huzinga do policjanta. - Dobrze się zna na tym, co robi.

- Dostaniemy kawę - rzekł staruszek. - Było jakieś zdarzenie. Nic nie wiem.

- Strzelali do mojego tygrysa - wyjaśnił Tracy.

- Współczuję - powiedział doktor Pingitzer.

- Poszliśmy do Świętego Patryka - opowiadał Tracy - jak sześć lat temu, a kiedy stamtąd wychodziliśmy, oni już czekali w opancerzonym samochodzie. Drugi zaparkowali trochę dalej, na 50. Ulicy. Najpierw strzelali na postrach. Tygrys się zląkł i zaczął uciekać. Gdy mijał drugi opancerzony wóz, postrzelili go w łapę.

- To na pewno pański tygrys?

- Tak.

- Dlaczego?

- Jest ze mną przez całe moje życie.

- Ach - rzekł staruszek - on jest tygrysem, jak pies jest psem?

- Chce pan wiedzieć - zapytał Tracy - czy mój tygrys jest prawdziwy, niczym te z dżungli albo z cyrku?

- No właśnie - odparł doktor Pingitzer.

- Nie, nie jest - oznajmił Tracy. - Przynajmniej do dziś nie był. I nagle okazał się prawdziwy. Ale to wciąż mój własny tygrys.

- Dlaczego tamci mówią, że tygrys umknął z cyrku?

- Nie wiem.

- To możliwe?

- Nie przeczę. Każde zwierzę trzymane w klatce uciełoby z cyrku, gdyby tylko mogło.

- Nie boi się pan tego tygrysa? - zapytał doktor Pingitzer. - Mamy tu gdzieś zdjęcia robione przez reporterów. Moja mała córeczka też dużo fotografowała. Zdjęcia, zdjęcia - wszystko zdjęcia taty. Moje! - Zerknął w stronę drzwi i zawołał: - Proszę o zdjęcia.

Wszedł Huzinga, wziął z biurka kilkanaście leżących na wierzchu fotografii i podał je lekarzowi. Staruszek przerzucał zdjęcia tak szybko, że ledwie miał czas na nie spojrzeć.

- Nie boi się pan tego zwierzaka - podsumował krótko - tego tygrysa. Ale to jest czarna pantera.

- Tak, wiem - zgodził się Tracy - ale zarazem mój tygrys.

- A więc nazywa pan to zwierzę tygrysem?

- Tak, choć wiem, że jest czarną panterą - odrzekł Tracy - lecz dla mnie to zawsze był tygrys.

- Pański tygrys?

- Tak.

- I pan się go nie boi?

- Nie.

- Ludzie boją się tygrysów.

- Ludzie boją się wielu rzeczy.

- Boję się nocy - wyznał doktor Pingitzer. - W Wiedniu, jak byłem młody, szukałem nocą miejsc, gdzie było wielu ludzi, dużo światła. Żeby przestać się bać.

Huzinga przyniósł kawę i napełnił filiżanki. Czuło się, że miał dla doktora Pingitzera ogromny szacunek.

- Teraz spróbujemy kawy - powiedział lekarz.

- Kiedyś chciałem zostać kiperem - zwierzył się Tracy.

- Ach tak? - ucieszył się doktor Pingitzer. - A więc pijmy kawę. Miło pić kawę. Życie jest zbyt krótkie. - Machnął ręką w stronę drzwi. - Bardzo, bardzo, bardzo.... - skrzywił się i nie dokończył zdania.

- Tak - przyznał Tracy.

Pili kawę w milczeniu. Tracy smakował ją powoli, jak przed sześciu laty, gdy siedział u Otto Seyfanga z Nimmo, Peberdym i Ringertem.



## Rozdział 8

Gdy wypili po trzy filiżanki, doktor Pingitzer powiedział:

- Aha. Pracować. Nie cierpię pracować. Nie cierpię psychiatrii. I zawsze nie cierpię pracować. Lubię śmiech, zabawę, fantazjowanie, cuda.

- To dlaczego pan pracuje? - zapytał Tracy.

- Dlaczego? - zastanawiał się doktor Pingitzer. - Niejasność. - Pomyślał chwilę. - W Wiedniu zobaczyłem dziewczynę. Elbę. Właściwie Elbę Varshock. Aha. Elsa to żona, matka, wciąż mówi: Gdzie jest na życie, pieniądz? No i co? Pracuję.

- Zna się pan na psychiatrii? - zapytał Tracy.

- Na psychiatrii nie - odpowiedział doktor Pingitzer. - Na ludziach trochę lepiej. Trochę, trochę, trochę lepiej. Każdego i każdego dnia - mniej, mniej, mniej. Czemu? Ludzie są trudni. Ludzie są ludźmi. Ludzie to śmiech, zabawa, fantazja, cuda. Aha. Ludzie to cierpienie, ludzie to choroba, ludzie to szaleństwo, ludzie to ból, ludzie to ból dla innych ludzi, to zabijanie, nawet samego siebie. Gdzie jest śmiech, gdzie jest zabawa, gdzie jest fantazja, gdzie są cuda? Psychiatrii nie cierpię. Ludzi kocham. Szalonych ludzi, pięknych ludzi, zbolełych ludzi, chorych ludzi, złamanych ludzi, rozbitych ludzi, kocham, kocham. Czemu? Czemu stracili ludzie śmiech, zabawę, fantazję, cuda? No czemu? Aha. Dla pieniądza? - Uśmiechnął się. - Tak myślę. Dla pieniądza. Pieniądz to miłość. Pieniądz to piękno. Pieniądz to śmiech. A gdzie jest pieniądz? Nie wiem. Już po śmiechu. Teraz pracować. Pracować. No więc tygrys. Tygrys.

- Może zna pan taki wiersz? - zapytał Tracy.

- Jest jakiś wiersz? - zaciekał się doktor Pingitzer.

- Owszem.

- Jaki? - niecierpliwiał się staruszek.

Tracy zaczął recytować:

*Tygrysie! Łuną dzikiej mocy*

*W ogromnych świecisz borach nocy!*

*Twą przeraźliwą piękność jakież*

*Stworzyły ręce, jakież oczy?*

- Aha. Zna pan dalej? - dopytywał się doktor Pingitzer.

- Tak, kawałek - odparł Tracy - Chyba nie zapomniałem.

- Proszę mówić - powiedział doktor Pingitzer.

Tracy wyrecytował następną zwrotkę:

*W jakich głębinach czy niebiosach*

*Zażęła się twych ślepi siła?*

*Jaka ją burza tu przyniosła?  
Jaka ją śmiałość pochwyliła?*

- Ho, ho - zawołał lekarz. - Żyje już siedemdziesiąt dwa lata, a nigdy nie słyszałem podobnego wiersza! Kto jest autorem?

- William Blake - oznajmił Tracy.  
- Prawdziwy mistrz ten William Blake! - zawołał doktor Pingitzer. - Pamięta pan dalej?  
- Owszem - rzekł Tracy. - Chwileczkę. O tak.

*Czyja to sztuka, czyje dzieło  
Potworne mięśni twoich sploty?  
Kiedy twe serce bić zaczęło,  
Jakie tam pracowały młoty?*

- Dalej? spytał starszek.  
- Myślę, że pamiętam całość.

*Jakie przeżyły się powrozy,  
Jakie tam piece ogniem ziały,  
Gdy mózg śmiertelnej pełen grozy  
Straszliwe palce kształtowały?*

*Włócznie z gwiazd spadły Bożych  
I płacz gwiazdzisty skrzył się w niebie.  
Czy On polubił cię? On stworzył  
Jagnię! Czy stworzył także ciebie?*

*Tygrysie! Łuną dzikiej mocy  
W ogromnych świecisz borach nocy!  
Tę straszną piękność jakież śmiały  
Kształtować ręce, jakież oczy?<sup>1</sup>*

Tracy umilkł.

- To już cały wiersz - odezwał się po chwili.  
- Aha - powiedział stary lekarz. - Dziękuję. I pan go zna od dzieciństwa, prawda?  
- Tak - odrzekł Tracy. - Deklamowałem go już w wieku trzech lat.

<sup>1</sup> Wiersz Williama Blake'a w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

- Pan rozumie ten wiersz? - zapytał doktor Pingitzer.

- Nic z tego nie rozumiem - odrzekł Tracy. - Ale podoba mi się.

- Aha. Jasne.

Staruszek spojrział w stronę drzwi.

- Jeszcze, jeszcze, jeszcze.... - powiedział. - Teraz. Dwa pytania. Pierwsze. Pański tygrys jest....?

- Moim tygrysem - wyjaśnił Tracy.

- Drugie - rzekł doktor Pingitzer. - Skąd wziął się tygrys na ulicy?

- No cóż - zaczął Tracy - przypuszczam, że wczoraj wieczorem jakaś czarna pantera zraniła dozorcę i uciekła z cyrku. To się zdarza. Jest tak przerażona, że pewnie kogoś zabije, jeśli okoliczności zmuszą ją do tego. Ale ta nieuchwytna czarna pantera to zarazem mój tygrys.

- To tak?

- A tak?

- Dlaczego? - dopytywał się stary lekarz.

- Nie wiem - rzekł Tracy. - Szedłem Piątą Aleją do katedry Świętego Patryka z moim tygrysem. Nigdzie się nie oddalał. Uciekł dopiero wtedy, gdy zaczęli do niego strzelać. Nie uciekałby pan, gdyby do pana strzelali?

- Bardzo szybko - oznajmił doktor Pingitzer. - Mimo siedemdziesięciu dwu lat bardzo szybko. Umilkł na chwilę, wyobrażając sobie, że biegnie co sił w nogach, choć ma siedemdziesiąt dwa lata.

- Policjanci zabiją to zwierzę - powiedział staruszek.

- Będą próbowali - przyznał Tracy.

- I zrobią to.

- Będą próbowali - tłumaczył młody człowiek - ale im się nie uda, nie potrafią.

- Jak to? Nie potrafią? - zdziwił się doktor Pingitzer.

- Nie można zabić tego tygrysa.

- Jednego tygrysa? Nie można zabić? A dlaczego?

- Po prostu nie można - odparł Tracy.

- Ale tygrys zabije? - pytał dalej lekarz.

- Jeśli będzie trzeba - odrzekł Tracy.

- Czy to uczciwe?

- Nie wiem. A pan wie?

- O nie - powiedział staruszek. - Wiem bardzo mało. Bardzo, bardzo, bardzo mało. Aha.

Pytanie z psychiatrii. Czy pan oszalał?

- Oczywiście, że tak - przyznał Tracy.

Stary człowiek znów spojrział na drzwi i położył palec na ustach.

- Cicho - szepnął.

- Oszalałem ze złości, bo zranili mi tygrysa - wyjaśnił Tracy. - Oszalałem przede wszystkim dlatego, że zamknęli tygrysa w klatce i oddali do cyrku. A tak w ogóle, to od urodzenia jestem trochę szalony.

- Ja też, ale proszę nikomu o tym nie mówić - oznajmił doktor Pingitzer i zerknął na drzwi. Nagle wstał. - Mówię tak: ten człowiek jest zdrowy na umyśle. To rozumieją. Aha! Koniec pracy.

Po chwili zawołał głośno:

- Proszę wejść.

Huzinga pierwszy wkroczył do sali, a za nim cała reszta.

Doktor Pingitzer popatrzył na ich twarze, długo milczał, a w końcu oświadczył:

- Aha! Ten człowiek jest zdrowy na umyśle.

Jakiś mężczyzna, który był z wyglądu przeciwieństwem doktora Pingitzera, wysunął się naprzód i powiedział:

- Doktorze Pingitzer, nazywam się Scatter i kieruję Instytutem Neurologicznym na Manhattanie. Czy mogę zapytać, jak postawiono diagnozę psychiatryczną i na jakiej podstawie wysnuł pan takie wnioski?

- Nie może pan - odparł stary psychiatra i zwrócił się do Tracy'ego: - Do zobaczenia, mój chłopcze.

- Do zobaczenia - powiedział Tracy.

Pingitzer uważnie przyjrzał się zgromadzonym w sali i ruszył ku drzwiom.

Reporterzy fotografowali go. Jeden z nich zapytał:

- Doktorze Pingitzer, a czarna pantera? Czy to naprawdę jego zwierzę?

- Badałem tego młodego człowieka, a nie czarną panterę - odparł lekarz.

Dziennikarz nie odstępował go.

- Jak to możliwe, że czarna pantera nie rzuciła się na niego, doktorze? - wypytywał.

- Nie mam pojęcia - rzekł lekarz.

- Czy Tracy powiedział panu coś o tym zwierzęciu? - dziennikarz nie rezygnował.

- Nic - oznajmił Pingitzer.

- A co pan na to, że pantera jest wciąż na wolności? - zapytał reporter.

- To nie jest sprawa dla psychiatry - oświadczył stary człowiek.

- A czyja to sprawa? - dopytywał się dziennikarz.

- Skąd jest ta czarna pantera?

- Z cyrku.

- Niech się tym zajmie cyrk - zakończył doktor Pingitzer i wyszedł z sali.

Wszyscy zgromadzili się wokół doktora Scattera, któremu nie podobały się ani wnioski starego Pingitzera, ani też jego zachowanie.

## Rozdział 9

Tracy nie złamał prawa, idąc na spacer z tygrysem.

Mimo wszystko uznano jego postępek za nieprawdopodobny i przekraczający wszelkie granice, a więc niezgodny z prawem. Tracy poczynił sobie jak gbur, dureń i cham.

Albo przynajmniej jak szaleniec. Takie było powszechne odczucie. Człowiek normalny nie idzie na spacer z czarną panterą, która właśnie uciekła z cyrku, i nie uważa jej wcale za odpowiednie dla siebie towarzystwo.

Toteż gdy tylko doktor Pingitzer się oddalił, Scatter zbadał Tracy'ego po swojemu i nie oparł się pokusie, by zinterpretować odpowiedzi pacjenta zgodnie ze swoją wiedzą i uprzedzeniami.

Doktor Scatter przeanalizował fakty i bez trudu udowodnił, że Tracy naprawdę oszalał. To bardzo proste. Każdego można potraktować w ten sposób.

- To nie wszystko - rzekł doktor Scatter do zebranych, wśród których był kapitan policji Earl Huzinga; tylko on jeden nie przyjął do wiadomości rewelacji wziętego psychiatry i nadal z szacunkiem myślał o doktorze Pingitzerze. - Kiedy zapytano pacjenta, jakie byłyby jego odczucia, gdyby na pewien czas został umieszczony w klinice w Bellevue celem przeprowadzenia dalszych badań i dogłębnej analizy jego przypadku, usłyszeliśmy w odpowiedzi, że wolałby raczej pójść do domu, lecz jeśli będzie musiał udać się do Bellevue, postara się jak najlepiej wykorzystać swój pobyt w tym miejscu i czuć się tam jak u siebie, a może nawet lepiej. Takie nastawienie pozwala sądzić, że prócz innych dolegliwości zdiagnozowanych już wcześniej, pojawił się u pacjenta kompleks ofiary. Dowodzi to również psychotycznej arogancji i pogardy dla powszechnie uznawanych norm. Pacjent bez wątplenia jest głęboko przekonany, że nie musi przestrzegać praw, które uznaje i akceptuje reszta społeczności. To przekonanie oparte jest na pewnych urojeniach, które są dla pacjenta swoistym wzmocnieniem. Chodzi mianowicie o to, że od lat pozostaje on w zażyłości z wymyślonym tygrysem, którego określa jako własnego lub innymi słowy - należącego tylko do niego; pacjent twierdzi, że tygrys potrafi mówić, a właściwie że jest w stanie porozumiewać się, używając mowy, tylko z nim samym. Jestem przekonany, że nikt nie ma wątpliwości, co do potrzeby umieszczenia pacjenta w Bellevue celem dalszej obserwacji oraz terapii.

Thomas Tracy został więc przewieziony do Bellevue. Nastąpiło to w październikowe popołudnie, pewnej słonecznej niedzieli.

Zorientował się od razu, że przebywający tam ludzie są całkiem szaleni. Odkrył ponadto, że każdy z nich miał tygrysa. Wszystkie zwierzęta czuły się fatalnie: niespokojne, wściekłe, ciężko ranne, wyzute z radości, pragnienia swobody, potrzeby zabawy, fantazji i nadziei.

Był tam syn Nimmo i jego przygnębiony, umierający tygrys. A także córka Peberdy'ego oraz jej wystraszone zwierzę, które chodziło nieustannie w tę i z powrotem. Siedział tam Ringert we własnej osobie, a jego tygrys przypominał starego zmęczonego psa. I jeszcze Laura Luthy z tygrysią, niegdyś prześliczną, dziś chudą, wygłodzoną i bardzo nieszczęśliwą.

Jedynie Tracy nie miał tygrysa.

Jego zwierzę ukrywało się w piwnicach zakładu Rousha, Rubelina i Ryana przy Madison Avenue między 55. 56. Ulicą. Było tam ciemno, pusto i strasznie. Nad kryjówką tygrysa znajdowało się pomieszczenie, w którym Roush, Rubeling i Ryan upiększali twarze umarłych pudrem, różem i uśmiechem.

Tam właśnie schronił się tygrys. Był przerażony i samotny, żaloszny i zrozpaczony. Chciał umrzeć.

## Rozdział 10

Czy warto pisać o tym, jak zareagowali mieszkańcy Nowego Jorku, gdy wiadomość o Tracym i jego tygrysie znalazła się na pierwszych stronach wszystkich gazet, została odczytana w radiu i telewizji przez znanych i nieznanymi spikerów oraz uzupełniona filmową relacją ze spaceru Tracy'ego i jego tygrysa Piątą Aleją, w której uchwycono także, jak weszli do kościoła Świętego Patryka i jak z niego wychodzili? Dodatkową atrakcją stanowiły zdjęcia Tracy'ego pijącego kawę z doktorem Pingitzerem, a także obleganego przez tłum policjantów, dziennikarzy, psychiatrów i wielu innych.

Reakcja była łatwa do przewidzenia.

Wystarczyło, że jakiś spokojny pies idący na mały spacerek wybiegł na ulicę, a już przechodnie wpadali w panikę. Kobiety histeryzowały, widząc przemykający cień. Dzieci dostawały klapsy za to, że chciały się bawić na podwórku.

Nikt nie wyszedł z domu w niedzielny wieczór, niewiele osób miało odwagę to zrobić w poniedziałek rano, ponieważ tygrys był wciąż na wolności, a Tracy znalazł się w Bellevue.

Nadal poddawano go obserwacji.

Tracy również przyglądał się z ciekawością pracownikom kliniki.

W wolnych chwilach odwiedzał Laurę Luthy, która zupełnie nie mogła go sobie przypomnieć. Powrócił w rozmowie do niedzielnej wizyty na Far Rockaway, ale mizerna i blada dziewczyna niczego nie pamiętała.

- Zjadłem sześć czekoladek - przyznał się Tracy.

- Powinien pan wziąć siódmą - uznała Laura.

- Dlaczego?

- Wtedy należałaby się panu jeszcze jedna za darmo - przypomniała dziewczyna. - To bardzo miłe. Zawsze tak myślałam. Mała nagroda dla każdego.

- Czekoladka? - zapytał Tracy.

- Cokolwiek - odpowiedziała Laura. - Matka, ojciec, życie, dobry los. Sześć to sporo, lecz jeśli dodać tę niewielką nagrodę, zbierze się całkiem dużo. Coraz więcej i więcej, pan też powinien wziąć sobie więcej.

- Nie pamiętasz? - niecierpliwił się Tracy. - Twój ojciec poszedł po lody.

- Lody się roztapiają - stwierdziła dziewczyna. - Taka jest właśnie tajemnica lodów.

Roztapiają się.

- Lauro - poprosił Tracy. - Popatrz na mnie i posłuchaj.

- Najbardziej mi smutno, gdy widzę roztopione lody - powiedziała.

- Nie smuć się, Lauro - pocieszył ją. - Lody przecież muszą się roztopić.

- Muszą?

- Oczywiście.

- Nie wiedziałam - rzekła Laura. - Strasznie płakałam, kiedy się roztopiły.

- Lauro, co to za lody?

- Lodowy chłopiec, lodowa dziewczyna, oboje byli z lodów - tłumaczyła Laura. - Nie wiedziałam. Wszystkie łyzy na darmo. Płakałam, aż sama się roztopiłam. Pewnie pan wie?

- Nie - powiedział Tracy. - Nie wiem. Nie mam pojęcia, co się wydarzyło, ale to już nie ma znaczenia. Posłuchaj, Lauro. Sześć lat temu stałem przed składem Otto Seyfanga.

- Dlaczego? - zapytała.

- Przecież tam pracowałem - wyjaśnił Tracy. - Stałem i rozmawiałem z kiperami: Nimmo, Peberdym i Ringertem.

- Gdzie oni teraz są? - zapytała dziewczyna.

- Nimmo umarł - odpowiedział Tracy. - Ringert jest tutaj, ale nie wiem, gdzie mieszka Peberdy. Gdy tam stałem, na Warren Street zjawiła się prześliczna dziewczyna.

- Naprawdę była taka śliczna? - wypytywała go Laura.

- Najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

- Kim ona była?

- To ty Lauro - rzekł Tracy.

- Ja? - zdziwiła się. - Najpiękniejszą dziewczyną na świecie? Na pewno pan się myli.

- Nie. To byłaś ty, Lauro.

- Z pewnością już nie jestem najpiękniejsza - uznała Laura.

- O tym właśnie chciałem porozmawiać - rzekł Tracy.

- Dobrze - zgodziła się dziewczyna. - Proszę mówić.

- Chciałbym, żebyś znowu szła po Warren Street.

- Naprawdę?

- Tak.

- Dlaczego?

- Widzisz, nie potrafię tego inaczej wyrazić - mówił Tracy. - Kocham cię.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nie wiem - odparł. - Sądzę, że..... nadal jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

- O nie - zaprzeczyła Laura.

- Tak, jesteś - upierał się Tracy. - Jesteś nią dla mnie.

- Nie - odpowiedziała zdecydowanie Laura. - Piękność jest zbyt wyzywająca. Dowodzi złego smaku. I unieszczęśliwia. To o wiele większe nieszczęście niż leżeć nieruchomo i czuć się martwą.

- Nie jesteś martwa, Lauro.

- Ależ tak.

- Lauro! - krzyknął Tracy. - Na Boga, Lauro, kocham cię.

- Przykro mi - odpowiedziała Laura. - Ogromnie mi przykro. Chyba wolę być martwa.

Tracy nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Czy naprawdę oszalała?

Nie wiedział, tak samo, jak doktor Pingitzer.

W każdym razie przebywała w Bellevue.



Przez wiele miesięcy miała wysoką gorączkę. Specjaliści uznali, że wkrótce umrze.

Wiadomo było, że i oni kiedyś poumierają, ale nie martwili się tym, bo ufali, że w chwili śmierci będą zdrowi na umyśle.

## Rozdział 11

Gorączkowy niepokój panował w Nowym Jorku przez cały tydzień.

Tygrys nadal pozostawał nieuchwytny. Umierał z głodu i przerażenia w swojej kryjówce. Nad nią znajdowało się pomieszczenie w którym Roush, Rubeling i Ryan balsamowali zwłoki.

Tymczasem gazety donosiły, że w Poniedziałek rano widziano tygrysa w trzech różnych miejscach w Harlemie, dwu w Greenwich Village i sześciu w Brooklynie. Pewien chłopak z Fresno w Kalifornii zabił czarnego kota ze strzelby kalibru 22, ponieważ stworzenie tak bardzo przypominało tygrysa Tracy'ego, że postanowił zadać sobie nieco trudu i wykorzystać tę okazję. Fotografie uradowanego chłopaka trzymającego kota za ogon zamieściły gazety w całym kraju.

Nazywał się Benintendi, a na imię miał Salvatore.

We wtorek po południu rozmaici ludzie w całych Stanach zaczęli twierdzić, że widzieli tygrysa Tracy'ego (bo tak go teraz nazywano) na własne oczy.

Pewien mieszkaniec Londynu ujrzał go w Soho. W liście, który opublikował *The Times*, opisał dokładnie, w jaki sposób owo stworzenie (tak się wyraził) zdołało tam dotrzeć. Jego wyjaśnienia były nadzwyczaj ciekawe. Opowiadał się całkowicie po stronie zwierzęcia, jak zazwyczaj czynią Brytyjczycy, a przynajmniej niektórzy z miejscowych oryginałów.

Pewien bukmacher z Seattle pobity przez zbirów swego konkurenta wmawiał policjantom, jakoby rzucił się na niego tygrysa Tracy'ego.

Właściciel knajpy z Chicago reklamował nowy trunk zwanym „Tygrys Tracy'ego”, dwadzieścia pięć centów za szklanekę.

Fabrykant zabawek z Toledo zebrał swoich projektantów i specjalistów od reklamy, a w sobotę rano pojawił się w sklepach czarny, pluszowy Tygrys Tracy'ego, ukochana maskotka dzieciaków. Sprzedawano też bluzy z wizerunkiem tygrysa i jego imieniem, nadmuchiwane tygrysy różnej wielkości oraz pudełka, z których wyskakiwał na sprężynce Tygrys Tracy'ego. Mogła to być przemiła niespodzianka dla najbliższych.

Tymczasem ścigane zwierzę nabawiło się przeziębienia, które wkrótce przeszło w zapalenie opłucnej. Jego oczy zmatowiały. Sączyła się z nich obficie żółta wydzielina. Katar zatkał mu nos. Białe zęby pokryły się nalotem, który zwiastował rychły koniec.

Tracy nadal poddawany był obserwacji, a informacje o jej wynikach skrupulatnie przekazywano każdego dnia narodowi i światu wraz z innymi, równie dziwnymi wiadomościami.

Psychiatrzy i lekarze wysunęli z tuzin albo i więcej dziwnych hipotez dotyczących Tracy'ego i jego Tygrysa.

Jakiś sprytny reporter odkrył, że Tracy ubóstwia Laurę Luthy i pierwszy opowiedział światu historię, którą opatrzył takim nagłówkiem:

TRACY ZAKOCHANY W LAURZE

WŁAŚCICIEL TYGRYSA PODRYWA ŚLICZNOTKĘ Z BELLEVUE

Szczęście nie dopisywało reporterom dziennika *Mirror*, który opublikował niewiele zdjęć i ciekawostek dotyczących Tracy'ego i jego tygrysa, nie lada sensacją stał się jednak artykuł, którego autor domagał się, by niezwłocznie przeprowadzono specjalne dochodzenie w sprawie dotychczasowych poczynań miejskiej policji. Żądał również usunięcia ze stanowiska komendanta Augusta Bly'a, argumentując, że kto nie potrafi doprowadzić do zastrzelenia lub schwytania chorego tygrysa, z pewnością nie będzie w stanie zatroszczyć się o bezpieczeństwo mieszkańców Nowego Jorku, gdyby na przykład bomba spadła na miasto.

Wielu ludzi dyskutujących chętnie o przeróżnych sprawach zainteresowało się natychmiast tym zagadnieniem.

Redaktorzy dziennika zwrócili się wprost do komendanta Bly'a z takim pytaniem: Kiedy będzie pan w stanie zapewnić mieszkańców największego miast na świecie, że Tygrys Tracy'ego na pewno zostanie zastrzelony lub schwytany, by ludzie mogli nareszcie żyć spokojnie?

Depeszę tej treści wysłano do Bly'a.

Komendant wezwał swoich najzdolniejszych współpracowników i polecił im zredagować odpowiedź. Powstało dwanaście wersji, a wszystkie do niczego, ponieważ nikt nie miał pojęcia, kiedy uda się zabić albo schwycić tygrysa.

Komendant czuł wielką ochotę, by odpisać krótko: „Nie wiem”, lecz nie śmiał.

Zredagowano więc liczącą pięćset słów odpowiedź i wysłano telegramem do redakcji. Cały tekst został wydrukowany na pierwszej stronie ze stosownym nagłówkiem: „Hańba dla nowojorskiej policji”. Żądano, by komendant Bly podał się do dymisji. Obiecano nagrodę w wysokości pięciu tysięcy dolarów każdemu mężczyźnie, kobiecie lub dziecku bez względu na pochodzenie, kolor skóry, poglądy i wyznanie, jeśli przywiezie do siedziby dziennika żywego lub martwego Tygrysa.

Następnego dnia w redakcji zjawił się pewien mężczyzna i pokazał czarną panterę z przestrzelonym na wylot łbem. Dziennikarze mieli wreszcie upragnioną sensację.

Relację myśliwego i zdjęcia martwego Tygrysa opublikowało wiele gazet w kraju i na świecie.

Tymczasem bohater dnia nazwiskiem Art Pliley siedział w redakcji dziennika *Mirror* i odbierał setki telefonów, przede wszystkim od kobiet. Niektóre z nich pragnęły go poślubić. Omawiany był również niezwykle istotny problem, próbowano namówić Arta, żeby kupił sobie przyzwoity garnitur i jako wybitna osobistość pokazał się w reklamach. Wtedy to do redakcji przyjechał Tracy razem z policyjną eskortą. Chciał popatrzeć na zastrzelonego tygrysa.

Wszystkie pozostałe gazety przysłały dziennikarzy i fotoreporterów, na wszelki wypadek. Zdawało się, że szefa policji czekają ciężkie i nieprzyjemne chwile, a poza tym i tak było na co popatrzeć.

*Mirror* nie zgodził się jednak na żadne oględziny z udziałem Tracy'ego.

Art Pliley miał na prośbę reporterów uściśnić jego dłoń, ale zdążył już poznać zasady i dyktował warunki.

- Zrobię to, jeśli dostanę piątkę - oświadczył.

- Jaką piątkę? - pytali dziennikarze.

- Pięć stów - wyjaśnił Art Pliley. - *Mirror* robi mi zdjęcia za darmo. Tak jest w kontrakcie.

Wszyscy inni płacą pięć stów.

- Aleś wykształcony - zażartował jeden z reporterów. Art Pliley, który nigdy nie odebrał żadnego wykształcenia, uznał, że widać tak należy i uściśnął dłoń Tracy'ego za darmo.

Wydawca dziennika strasznie go za to zwymyślał.

Tracy ścisnął dłonie wszystkim. Był przekonany, że i oni robią to z przyjaźni. Albo bezsilności.

Tymczasem gazet *News* oznajmiła, że *Mirror* oszukuje mieszkańców Nowego Jorku. Twierdzono, że martwe zwierzę przyniesione do redakcji wcale nie jest Tygrysem Tracy'ego.

Rezultatem tej zawistnej rywalizacji były oficjalne i uroczyste oględziny tygrysa w siedzibie dziennika *Mirror*, dokonane przez Tracy'ego, cyrkowego tresera oraz kilka innych osobistości, którym zależało na zdobyciu rozgłosu w jakikolwiek sposób.

Uroczystość nie trwała długo. Tracy spojrzął na nieszczęsne, martwe zwierzę leżące obok zamówionej uprzednio skrzyni, w której miało być pochowane. Popatrzył na nie od progu, odezwał się nie czekając na swoją kolej i w ten sposób pozbawił ceremonię wszelkiego sensu.

- To nie jest mój tygrys - powiedział - ani nawet czarna pantera, tylko górski lew, którego futro ktoś przefarbował na czarno.

Art Pliley został aresztowany pod zarzutem oszustwa - dziennik *Mirror* odzyskał swoje pieniądze - myśliwy znalazł się w więzieniu. Odwiedził go tam wydawca *News* i wnet sprawa przybrała inny obrót. Ustalono, że gazeta będzie miała wyłączność na publikację wspomnień Plileya i zapłaci mu aż sześć tysięcy dolarów. Art ujawniał swoje grzeszki przez trzy dni, a potem długo musiał za nie pokutować, bo wyznał dokładnie wszystko i okazało się, że ma na sumieniu wiele innych, równie chytrych postępów. Oświadczył, że zależy mu przede wszystkim na sławie, a ponieważ w końcu stał się dość sławny, nie chce zatrzymywać się w połowie drogi.

Nie warto tu przytaczać jego nudnych wspomnień. Wystarczy powiedzieć, że pragnął sławy.

Dziewiątego dnia Tygrys Tracy'ego był już bardzo chory. Nadal ukrywał się w piwnicy pod pomieszczeniem, w którym Roush, Rubeling i Ryan balsamowali zwłoki. Nocą drżący i zbolący tygrys wyczołgał się z kryjówki i podpełzł do kosza na odpadki, w którym znalazł okrawki mięsa, trochę kości i resztki rozmaitych jarzyn. Po trochu przenosił odpadki do swojego legowiska.

O drugiej nad ranem pewien mały chłopiec obudził się i zaczął kaszleć. Czekał na matkę, która miała przynieść mu lekarstwo. Gdy wreszcie przyszła rzekł:

- Mamo, popatrz na tego wielkiego kota przy śmietniku.

Mama wyjrzała przez okno i poszła obudzić tatę. Tata nie trzymał w domu broni, ale za to interesował się fotografią i miał aparat oraz lampę błyskową.

Siedział przy oknie trzy minuty, czekając, aż tygrys wróci do śmietnika. Gdy zwierzę wyszło z kryjówki, zdenerwował się tak bardzo, że nie potrafił go sfotografować.

Mama rozzłościła się, zabrała mu aparat i podała go ośmioletniemu synowi. Chłopiec zrobił zdjęcie najlepiej jak umiał, ale tygrys zauważył błysk lampy, uskoczył i pomknął do kryjówki.

Mężczyzna ubrał się i wywołał zdjęcie w swojej ciemni. Było na nim widać zadek tygrysa.

Zaniósł tą marną fotografię na policję, gdzie przesłuchiwano go całą godzinę. O czwartej nad ranem chory tygrys usłyszał jakiś hałas i zobaczył światła. Długo patrzył i nasłuchiwał.

Kiedy wszystko się uspokoiło, wylazł z ukrycia i powlókł się w stronę śródmieścia.

Zdjęcie i jego niezwykła historia zostały natychmiast opublikowane w gazetach razem z fotografią chorego dziecka, które poczuło się jeszcze gorzej.

Dzielnica Nowego Jorku, w której mieszkał chłopiec, została starannie rozrysowana przez doświadczonych kartografów. Szukano miejsc, w których mógł ukrywać się tygrys.

## Rozdział 12

Kapitan Earl Huzinga wiele razy przyjeżdżał do Bellevue i długo naradzał się z Tracym. Postanowił wreszcie udać się prosto do komendanta policji Bly'a. i przedstawić mu swój niezwykle plan, nawet gdyby miał przez to stracić pracę.

- Tracy znajdzie dla nas tygrysa - oznajmił kapitan Huzinga.

- Jak? - zapytał komendant Bly.

- Wiem, że to, co powiem, wyda się panu zagmatwane - uprzedził Huzinga - ale rozmawiałem z nim wiele razy i zrozumiałem, że ten plan wcale nie jest zły. Na pewno się uda.

- Ale jak? - zapytał ponownie Bly.

- Przede wszystkim - rzekł kapitan - Tracy nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział. Żadnego rozgłosu.

- Możemy to zrobić dyskretnie - przyznał komendant.

Ta awantura z tygrysem przysporzyła mu wielu troski i kłopotów. Miał dopiero sześćdziesiąt sześć lat, ale ostatnio czuł się o wiele starszy.

- Na Warren Street był kiedyś skład Otto Seyfanga, importera kawy - wyjaśniał Huzinga. - Firmy już nie ma, ale budynek nadal stoi. Tracy chce, żebyśmy powiesili na tym domu szyld z napisem „Otto Seyfang”. W pomieszczeniach działu kontroli siądzie przy stole trzech facetów. Nazywają się Peberdy, Ringert i Shively. Będą znów kiperami. Peberdy wynajmuje umeblowany pokój. Ringert jest w Bellevue, Shiverly mieszka u córki w Bronx.

- Bez sensu. Po co to wszystko? - zapytał Bly.

- Wiem, że ma pan wątpliwości - rzekł Huzinga - ale moim zdaniem Tracy naprawdę pomoże nam złapać tygrysa. Potrzebuje tylko jednego dnia. Najlepsza byłaby niedziela. To nam bardzo odpowiada, bo w niedzielne popołudnie na Warren Street na pewno nie będzie nikogo oprócz kilku pijaków.

- Dużo pan ostatnio przesiadywał w Bellevue - stwierdził komendant Bly - i dlatego panu też brak piątej kleпки. Ale proszę dalej, wysłucham tego do końca.

- Tracy chce, żebyśmy przywieźli do magazynu ze sto worków kawy - mówił dalej Huzinga.

- Ale po co?

- Był kiedyś tragarzem - wyjaśnił kapitan. - Przyjdzie tam w niedzielę o ósmej rano. Będzie dźwigał i prznosił worki. Peberdy, Ringert i Shively pójda do działu kontroli i będą próbować kawy. Co jakiś czas Tracy zrobi sobie przerwę i trochę z nimi posiedzi. W południe wyjdzie przed budynek i postoi w słońcu. O wpół do pierwszej na Warren Street pojawi się dziewczyna nazwiskiem Laura Luthy. Zatrzyma się przed składem Otto Seyfanga.

-Rzeczywiście to zrobi? - zainteresował się Bly.

- Tak - odparł Huzinga.

- I co dalej? - niecierpliwił się komendant.

- Tygrys również się tam zjawi - powiedział kapitan. - Tracy weźmie dziewczynę za rękę i dalej pójdą razem. Przy Warren Street jest opuszczony sklep, trzecie drzwi od składu Otto Seyfanga. Kiedyś sprzedawano w nim warzywa i owoce. Tracy wstąpi tam z dziewczyną i tygrysem. W sklepie ustawimy klatkę, a tygrys do niej wejdzie. Tracy zamknie ją na klucz. Potem razem z dziewczyną opuści sklep.

- Na pewno?

- Tak.

- Proszę - rzekł naczelnik. - Niech pan mówi dalej.

- Tracy postawił dwa warunki - rzekł Huzinga. - Po pierwsze, żadnych dziennikarzy. Żadnych zdjęć, nawet do naszej dokumentacji. My obaj możemy go obserwować z budynku po przeciwnej stronie ulicy. I druga rzecz, schwytamy tygrysa, ale nie wolno nam zawiadomić o tym nikogo. Jeśli zwierzę będzie chore, powinien się nim zająć dobry lekarz, chodzi przede wszystkim o ranę na łapie. Prawej przedniej.

- Pan wierzy w te brednie, prawda? - zapytał komendant Bly.

- Tak, szefie.

- Dlaczego?

- przekazał mi pan tę sprawę dziesięć dni temu - powiedział Huzinga. - Spędziłem z Tracym dużo czasu. Gazety napisały prawdę o Laurze Luthy. Lekarze twierdzili, że jest umierająca i wystarczyło na nią popatrzeć, by się przekonać, że to prawda. Ale ona na pewno nie umrze. Pingitzer przyjeżdża codziennie do Bellevue i rozmawia z obojgiem, chce znaleźć wyjaśnienie. Mówi, że wszystkich, którzy tam trafili, pozbawiono kiedyś miłości. Ci, dla których miłość znaczy najwięcej, zaczynają wtedy chorować, wielu umiera. I to bardzo szybko. Tracy nie jest wariatem.

- A co z opinią doktora Scattera i innych specjalistów, którzy uznali go za wariata?

- Nie wiem - rzekł Huzinga. - Chyba całkiem poprawnie stawiają diagnozy, ale podejrzewam, że takie sprawy można wyjaśnić na wiele sposobów. Pingitzer próbuje dojść, jak widzi wszystko Tracy. Jest przekonany, że właśnie takie postępowanie daje dobre efekty, szczególnie jeśli terapię rozpocznie się dostatecznie wcześnie. Nigdy jednak nie udało się pomóc w ten sposób pacjentce, która choruje tak długo jak Laura Luthy. Powiada, że kto ma do czynienia z istotą ludzką, musi być cierpliwy i wciąż się uczyć, bo wszystko jest możliwe, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi miłość. Wiele się ostatnio zmieniło w Bellevue, nigdy by pan nie pomyślał, że słychać tam śmiech, prawda?

- O nie, w każdym razie nie spodziewam się tam usłyszeć prawdziwego śmiechu.

- A to jest prawdziwy śmiech - opowiadał Huzinga. - Scatter i wszyscy cholernie się złością. Chcą temu zapobiec. Codziennie ustalają nowe regulaminy, ale nic nie wskórają. Są wściekli, bo nie rozumieją, dlaczego u pacjentów nie występują normalne objawy choroby. Ci ludzie wstają z łóżek, odwiedzają się, pomagają jedni drugim, plotkują, tańczą, śpiewają i nie zachowują się wcale jak wariaci. Są naturalni, prawdziwi, mili. I trochę smutni, ale nie bardziej niż inni ludzie. - Huzinga umilkł na chwilę. - Tracy na pewno złapie dla nas tygrysa. Wtedy znów staniemy na pewnym gruncie,

nawet jeśli nie będziemy mogli tego ujawnić. Za parę tygodni wszyscy zapomną o całej sprawie. Co pan na to?

- Nic z tego - upierał się komendant. - To bez sensu. Wszystko się rozniesie. Cały Nowy Jork będzie się ze mnie naśmiewał.

- Dziś mamy środę - powiedział kapitan. - Za cztery dni się przekonamy. Niech pan da mi wolną rękę. Jeśli się nie uda, wywali mnie pan. Powiem, że to był mój pomysł. Sam wszystko przygotowuję. Pingitzer mi pomoże. On chce przy tym być.

Komendant długo się zastanawiał.

- Dobrze - odezwał się w końcu. - Dobrze, ja też przyjdę.

- Ale musimy dotrzymać obietnic - przypomniał Huzinga.

- Oczywiście - uspokoił go komendant. - Niech pan się bierze do roboty.

Kapitan Huzinga wyszedł od Bly'a zadowolony i pewny swego, mimo to dręczył go okropny niepokój.



### *Rozdział 13*

W słoneczny niedzielny poranek Tracy wyszedł z tunelu metra.

Stanął w słońcu i rozejrzył się dookoła, jak przed sześciu laty. Sceneria niewiele się zmieniła.

Szedł przez Bowling Green Park w stronę Warren Street. Popatrzył na zegarek i jak zwykle przyspieszył kroku, bo do ósmej pozostało tylko pięć minut.

Warren Street była pusta, wydawało się, że jeszcze drzemie, jak inne niedzielne ulice.

Tracy od razu zauważył na budynku szyld Otto Seyfanga. Zbliżył się szybko do drzwi i wszedł do środka. Kapitan Huzinga i komendant Bly obserwowali go ukryci w domu po drugiej stronie ulicy.

Przed paroma minutami widzieli, jak Peberdy, Ringert i Shively weszli do budynku.

- Nie wiem, co pan sobie pomyśli - rzekł Bly - ale mnie wydaje się, że Tracy jest o wiele bardziej zwariowany niż można przypuszczać. Co pan na to?

- Za wcześnie na takie słowa. Mamy przecież dużo czasu - powiedział Huzinga. - O wpół do pierwszej Laura Luthy na pewno przyjdzie na Warren Street tak samo jak sześć lat temu.

- No i dobrze - uznał komendant Bly. - Tracy będzie tutaj pracował, a tygrys wyjdzie ze swojej kryjówki i przybiegnie do składu Otto Seyfanga, bo coś go tu ciągnie, zgadza się?

- Owszem.

Nadany przez radio meldunek przerwał ich rozmowę. Donoszono, że w całym mieście panuje zupełny spokój.

- Czy możemy raz jeszcze wszystko sobie powtórzyć? - poprosił Bly. - Dziewczyna będzie ubrana w żółtą, robioną na drutach sukienkę, zgadza się?

- Tak - potwierdził Huzinga.

- Pojawi się tutaj około wpół do pierwszej?

- Tak.

- Tracy będzie stał na schodach przed budynkiem, prawda?

- Tak.

- Dziewczyna zobaczy Tracy'ego i przystanie, zgadza się?

- Tak.

- I wtedy zjawi się tygrys?

- Tak.

- Tracy weźmie dziewczynę za rękę i pójdą dalej Warren Street razem z tygrysem, zgadza się?

- Tak.

- Trochę dalej jest opuszczony sklep, w którym wiszą teraz różne obrazy przedstawiające zwierzęta. Tam stoi klatka, prawda?

- Tak.

- Skąd pan wzięł te obrazy? - zainteresował się Bly.

- Z firmy Raymond & Raymond - wyjaśnił Huzinga. - Mają reprodukcje najszlachetniejszych obrazów, na których są zwierzęta.

- Tygrys wejdzie do klatki, a Tracy ją zamknie, tak? - mówił dalej komendant policji.

- Tak - potwierdził Huzinga.

- W sklepie, na półpiętrze stoją dwaj młodzi policjanci, Splicer i Slew. tylko my dwaj o tym wiemy. Opiszą później dokładnie, co widzieli, zgadza się?

- Tak. Są już na miejscu.

- Niech pan ich wywoła.

Po chwili odezwał się Slew. Huzinga rozmawiał z nim krótko.

- Wszystko gotowe - oznajmił kapitan.

- Czego od pana chciał? - zapytał szef policji.

- Pytał, czy może robić zdjęcia - wyjaśnił Huzinga. - Wprawdzie nie wie, o co tu chodzi, ale zabrał ze sobą aparat.

- Nie uważa pan, że dobrze byłoby mieć parę zdjęć? - zastanawiał się Bly.

- Przecież obiecaliśmy - przypomniał Huzinga.

- Jesteśmy z policji - stwierdził Bly. - Nie możemy się tak przejmować wszystkimi obietnicami.

- Sądzę jednak, że lepiej nie robić żadnych zdjęć - oświadczył kapitan,

- Dobrze - zgodził się szef policji. - Jeśli okaże się, że nie wszyscy zwariowaliśmy i Tracy naprawdę zamknie tygrysa w klatce, on i Laura opuszczą sklep i pójdą dalej Warren Street, prawda?

- Tak.

- A dokąd pójdą? - dopytywał się Bly.

- To nie nasza sprawa - uznał Huzinga. - Pewnie na spacer.

- Wejdziemy do sklepu minutę po wyjściu Tracy'ego, a Splicer i Slew zameldują, co widzieli, zgadza się?

- Tak.

- Za sklepem czeka kryta ciężarówka - mówił dalej komendant. - Wywieziemy klatkę z tygrysem. Potem szybko badanie i oczywiście leczenie, jeśli okaże się to konieczne. Następnie wypuścimy tygrysa na wolność tam, gdzie nikomu nie będzie zagrażał, prawda?

- Tak.

- Wybrano już miejsce? - zapytał Bly?

- Wprawdzie treser mówił, że zwierzę urodziło się w niewoli - powiedział Huzinga - konkretnie w Madison Square Garden, ale Tracy nalega, żeby wypuścić tygrysa na wolność, najlepiej w górach leżących możliwie blisko Nowego Jorku.

- Czy ten zwierzak będzie tam bezpieczny? - niepokoił się szef policji.

- Tracy miał na myśli niedostępne góry - wyjaśnił Huzinga - w których nie ma ludzkich osiedli.

- Nie chodzi mi o ludzi - denerwował się Bly - lecz o tygrysa. Jak on tam przeżyje? Może spotkać myśliwych, będą do niego strzelać.

- Z pewnością da sobie radę - uspokoił go Huzinga.

- Mówiliśmy, co się stanie, jeśli wszystko pójdzie po myśli Tracy'ego i pana - rzekł szef policji. - A co zrobimy, jeżeli tygrys nie wróci?

Młody policjant spojrział na starego komendanta.

- Będzie pan zmuszony mnie wywalić - oznajmił. - Sam złożę rezygnację.

- Nikt prócz nas nie wie o tej sprawie, prawda?

- Tylko pan i ja - potwierdził Huzinga - ale jeśli się nie uda, odejdę.

- Co stanie się z Tracym u dziewczyną, gdyby nam się nie powiodło?

- Obiecałem doktorowi Scatterowi, że odwożę ich z powrotem do Bellevue - powiedział Huzinga.

- Scatter wie o wszystkim?

- Nie, wymyśliłem dla niego jakąś historyjkę - odparł Huzinga. - Ale Pingitzer wie. To znaczy, powiedziałem mu, że o wpół do pierwszej Laura Luthy i Tracy spotkają się przed składem Otto Seyfanga. Tylko tyle.

- Gdzie jest ten lekarz?

- Tracy prosił, żeby doktor Pingitzer siedział w dziale kontroli - wyjaśnił Huzinga. - Widziałem, jak tam wchodził. przyszedł trochę wcześniej niż pan.

- A właściwie po co? - zapytał Bly.

- Tracy tak chciał.

- Czy ten facet wie, że jeśli się nie uda, wróci z dziewczyną do Bellevue?

- Nie - powiedział kapitan. - I dlatego się martwię. Ukryłem to przed nim. Pomyślałem, że tak będzie lepiej. Ale to mi nie daje spokoju.

Następny meldunek o sytuacji w mieście odebrali o wpół do dziewiątej. Absolutny spokój. Komendant policji wywołał swoją sekretarkę.

- Już dwa razy meldowali, że w mieście nic się nie dzieje. Chcę wiedzieć, czy na pewno tak jest. Proszę sprawdzić i zadzwonić do mnie.

Sekretarka wkrótce się odezwała.

- Ze wszystkich dzielnic meldują, że panuje spokój.

- Na pewno?

- Tak, szefie.

- Czy mieliśmy już taką sytuację? - zapytał komendant. - Zupełny spokój w Nowym Jorku przez całą godzinę?

- W każdym razie mnie nic o tym nie wiadomo - odpowiedziała sekretarka.

- Widzi pan - rzekł Bly do Huzingi. - To już jest coś. Przez całą godzinę absolutny spokój w Nowym Jorku, żadnych pijackich awantur, kłótni rodzinnych, drobnych kradzieży czy choćby

zakłócenia porządku.

## Rozdział 14

Tracy znów pracował jako tragarz. Podnosił worki z kawą, zarzucał je na plecy, niósł pięćdziesiąt metrów i kładł na ziemi. Nie było to łatwe.

Przenosił worki jeden po drugim ze składowiska pod mur, za którym były pomieszczenia działu kontroli. Za każdym razem gdy kładł worek na ziemi, miał ochotę wejść do środka i napić się kawy z Peberdym, Ringertem, Shivelym i Pingitzerem. Słyszał ich głosy, ale nie rozumiał, co mówią. Postanowił jednak, że nie pójdzie do nich, póki nie odzyska dawnej sprawności i siły. Chciał, żeby praca sprawiała mu przyjemność.

Wędrówka z jednego końca podwórka na drugi bardzo go męczyła. Garbił się pod ciężarem każdego worka. Kilka razy omal nie upadł. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. Kiedyś wykonywał tę pracę bez trudu, a przecież minęło zaledwie sześć lat. Oddychał ciężko, a gdy niósł worek z kawą, serce tłukło się jak oszalałe.

Stanął przy oknie wychodzącym na plac, żeby odpocząć, zastanowić się nad tym i popatrzeć w uliczkę.

Nic się tu nie zmieniło: asfalt, stare cegły i kamienie, drewno, z którego odpadła farba, śmietniki, przeróżne rupiecie i odpadki rozrzucone dookoła, nieustępliwe, stare drzewo, trochę zielska, niski łuk w bramie budynku po przeciwnej stronie zaułka; wypadło z niego kilka cegieł, dwie z nich leżały na ulicy.

Długo odpoczywał, nie odrywając oczu od żalosego widoku. Kiedyś wszystko tu było nowe, rokujące nadzieję, jasne i czyste, ale teraz robiło przynębiające wrażenie.

Gdy znów wziął się do pracy, tęsknił jednak za tamtym widokiem, zupełnie jak człowiek zakochany, który chce się spotkać ze swoją wybranką, nawet jeśli ona choruje i nie wygląda tak pięknie jak zawsze.

Po raz piąty przemierzył składowisko, znowu popatrzył w uliczkę i wtedy odkrył jej szczególny urok. Nawet nie stęknął, dźwigając następny worek.

Łatwiej mu było go nieść, a gdy położył swój ciężar na ziemi, usłyszał śmiech Pingitzera i reszty.

Znowu przyjrzał się ulicze i drzewo wydało mu się piękne. Uśmiechał się, myśląc, ile lat tu roślo - na pewno więcej niż sześć, bo widział je i przedtem. Jego liście nie były zielone tylko dlatego, że pokrył je miejski kurz. Nie urosło duże, ponieważ nie miało dość ziemi, żeby w niej zapuścić korzenie, ani dość miejsca dla swoich gałęzi. Ale przetrwało tu i wyrosło na prawdziwe drzewo. Nagrodą za jego cierpliwość mogły być niespodziewane odwiedziny ptaka, który przylatywał się przywitać i znikał; czasem jednak któryś z nich zostawał i wiał sobie gniazdo wśród gałęzi. Drzewo przetrwało, nie ma co do tego wątpliwości. Rosło tu od dawna i tutaj pozostanie. Pień miało twarde i mocny, poszczerbiony w paru miejscach, lecz mimo to wytrzymały.

Tracy przenosił kolejne worki z kawą pod mur, za którym mieścił się dział kontroli, a szło mu to coraz łatwiej. Dziewiąty worek podniósł bez wysiłku.

Dochodziła dziewiąta, a do dwunastej Tracy musiał uporać się z robotą, lecz przerwał na chwilę i zaszedł do działu kontroli.

Czterej mężczyźni siedzieli przy okrągłym stole, a przed każdym z nich stał srebrny dzbanek do kawy. W dzbanku Pingitzera było też sitko do precedzania.

- Aha - zawołał stary lekarz. - W samą porę. Zaparzyłem kawę po swojemu, jak w Wiedniu, dawno temu.

Napełnił filiżankę i podał ją Tracy'emu, który wziął ją w dłonie i spróbował napoju. Smakowali powoli.

- Dobra - oznajmił.

- Zaparzyłem po swojemu - rzekł Pingitzer. - Jak w Wiedniu.

Tracy krążył wokół stołu i jak dawniej gawędził z kiperami. Gdy filiżanka była już pusta, podsunął ją Shively'emu, który nalał mu kawy z własnego dzbanka. Była doskonała.

- Muszę wracać do pracy - powiedział Tracy. - Mam wiele do zrobienia.

- Aha - rzekł Pingitzer. - Takie są obyczaje młodości. Takie są złudzenia młodości. To piękne złudzenia. Był czas w Wiedniu, kiedy Pingitzer również miał takie obyczaje i takie złudzenia. To był piękny czas, piękne obyczaje, piękne złudzenia. Aha. Siedzi tu Pingitzer, ma siedemdziesiąt dwa lata, nie chce już pracować, nie chce pięknych złudzeń.

- Zajrzę do was niedługo - obiecał Tracy.

Wyszedł na podwórze i stanął przy oknie, żeby raz jeszcze popatrzeć w zaułek. Musiał się dobrze zastanowić nad tym, co chce osiągnąć, bez niepotrzebnego pośpiechu, lecz na pewno nie później niż za kilka godzin. Czas zawsze urzekał Tracy'ego. Nie pojmował go, ale dobrze wiedział, że wszystko, co ma znaczenie, o co warto zabiegać - wszelka myśl, wszelka prawda - przychodzi niespodziewanie. Kto chce, może czekać całą wieczność, aż myśl sama się objawi. Ktoś inny zbliża się do niej nieustannie, działając w czasie i w zgodzie z czasem, pracując bez ustanku dla osiągnięcia celu i nagle znajduje tę myśl - przez działania w czasie i w zgodzie z czasem, przez ustawiczną pracę - znajduje ją doskonałą i czystą, znajduje niespodziewanie.

Ważne jest, by w sercu zapanował pokój i ustało niepotrzebne poruszenie, wtedy ów długo oczekiwany gość znajdzie tam sobie mieszkanie. A więc zdecydowane działanie i niemal całkowity spokój - jednocześnie.

Tracy miał wiele do przemyślenia, musiał też wiele zrobić, lecz by dokonać tego, co powinno być zrobione, należało po prostu wziąć się do ciężkiej pracy. Wszystkie istotne sprawy - a było ich wiele - miały swój początek w jego prostym zajęciu i zależały od tego, czy zdoła przenieść worki z kawą.

Tracy stał jeszcze chwilę, patrząc z uśmiechem na żalony, ale piękny widok, i rozmyślał pogodnie o swojej pracy. Rozważał wszystkie sprawy, które się z nią wiązały, ale starał się niczego nie przyspieszać. Jego spojrzenie błędziło po frontowej ścianie starego budynku po drugiej stronie ulicy.

Przeniósł z pół tuzina worków i dopiero wtedy popatrzył w uliczkę. Nie rozglądał się długo, bo pilno mu było wrócić do roboty, którą wykonywał z radością. Ale ta jedna chwila wystarczyła; dostrzegł coś tajemniczego. Dźwigając kolejny worek, zastanawiał się, cóż takiego ujrzał. A może to wytwór jego wyobraźni; przecież rozważał przed chwilą tak wiele możliwości.

Postanowił, że przeniesie jeszcze kilka worków i dopiero wtedy zrobi sobie krótką przerwę. Podejdzie do tylnych drzwi, otworzy je, wejdzie na schody i stamtąd popatrzy w zaułek.

Stojąc na schodach, prawie się nie rozglądał. Myślał o tym, że znów coś zobaczył, i ogarnęła go wielka radość. Ktoś tam był; dokładnie nie wiadomo kto; dokładnie nie wiadomo gdzie. Ale był i Tracy nie miał co do tego wątpliwości.

Wrócił do pracy, przenosił jeszcze trzy worki, a potem zaszedł do działu kontroli, żeby posiedzieć chwilę z kiperami.

- Jak tu się czujesz po sześciu latach? - zapytał Ringert.

- Wszystko jest znowu na swoim miejscu - odpowiedział Tracy. - A co z tobą, Ringert?

- Jak widzisz, Tracy - rzekł kiper - nie buntuję się i nie wierzgam.

- Aha - odezwał się Pingitzer. - Co to wierzgać? Jak pan to robi? Porusza się nogą? A może nie złości się pan?

- Bo ja wiem - rzekł Ringert. - Całkiem niezłe poruszam nogami, ale kiedyś lepiej sobie radziłem. Złoszczę się, ale nie tak, jak dawniej. Kiedyś złościło mnie wszystko i było całkiem zabawnie. Teraz denerwuje mnie tylko jedno, a i na to nie chce mi się narzekać.

- A co? - dopytywał się Pingitzer.

- Że Ringert niedługo się wykończy.

- Aha. Jak smakuje kawa Ringerta?

- Dobrze - odparł Tracy.

- Poproszę - rzekł Pingitzer i podsunął Ringertowi swoją filiżankę, którą tamten napełnił.

Stary lekarz spróbował kawy i rzekł:

- Aha. Naprawdę dobra.

Tracy wrócił do pracy i przeniósł jeszcze trzy worki, podszedł do okna, stanął przy nim plecami do uliczki i nasłuchiwał. Stał tak dość długo, może trzy minuty. Było cicho. Nie miał pewności, czy coś usłyszał, ale uznał, że nie warto o tym rozmyślać i wziął się do roboty. Za każdym razem gdy podnosił worek, zatrzymywał się na chwilę i nasłuchiwał. Przemierzył podwórko sześciokrotnie i sześć razy przystawał słuchając. Potem usiadł na workach nie po to, żeby odpocząć, lecz by wypowiedzieć swoje dziękczynienie, znaleźć się blisko rzeczy, blisko ich istoty i uśmiechnąć się do wszystkiego, co było w pobliżu.

Gdy wreszcie nabrał pewności, że słyszy głos, nie był zaskoczony. Nie zerwał się na równe nogi. Nie odwrócił się. Rzekł tylko jedno słowo, a głos mu odpowiedział. Tracy podniósł się wolno, zarzucił worek na plecy i poszedł.

Kiedy położył go na ziemi, odwrócił się i ujrzał tygrysa.

Nawet z daleka widać było, że wygląda bardzo źle. Był zagłodzony, chory, słaby i ranny. Tracy wrócił do stosu worków, ledwo spojrzawszy na zwierzę, wziął ciężar na plecy i ruszył drugą stroną podwórka. Gdy przemierzał je po raz trzeci, tygrys wlaź na wysoką stertę i wyciągnął się na niej, żeby odpocząć i popatrzeć. Tracy rozmawiał z tygrysem. Nie potrzebowali już słów ani głosu, ponieważ rozumieli się doskonale.

Nieuchwytna myśl wróciła, żeby pozostać.

Kwadrans po dwunastej wszystkie worki były już przeniesione. Kiperzy z działu kontroli poszli na obiad. Tygrys zbliżył się do Tracy'ego. Skierowali się ku frontowym drzwiom budynku. Tygrys bał się wyjść na ulicę. Tracy powstał trochę obok niego, nie mówiąc ani słowa, potem wyszedł i zatrzymał się na schodach. Drzwi zamknęły się za nim.



## Rozdział 15

Kapitan Huzinga i komendant Bly siedzieli w pokoju na piętrze po drugiej stronie ulicy i obserwowali.

Thomas Tracy stał przed składem Otto Seyfanga, jak wcześniej było zaplanowane.

- Która godzina? - zapytał Bly.

- Wpół do pierwszej - rzekł Huzinga. - Myśli pan, że to się stanie?

- Już coś się stało - powiedział Bly. - Słyszał pan meldunki przez radio.

- Tak.

- Absolutny spokój przez cztery godziny.

- Tak. Uważa pan, że jednak się uda?

- To nie ma znaczenia - odparł szef policji. - Niech pan tylko popatrzy na Tracy'ego. ten człowiek nie jest wariatem.

- Ależ on całkiem zwariował - wybuchnął nagle Huzinga. - I ta akcja to również wariactwo. Źle wszystko zrozumiałem. To był błąd. Powiesiłem szyld. Skład Otto Seyfanga. Ten facet nie żyje od trzech lat. A tu teraz są magazyny, nie żadna hurtownia kawy. Jesteśmy w terażniejszości. Czas się nie cofnął o sześć lat. Tracy na pewno zwariował, a ja chyba jeszcze bardziej, bo uwierzyłem, że każdy z nas potrafi urzeczywistniać to, do czego tęsknią ludzkie serca od początku świata. Niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Żal mi go. To wariat. Sam o tym nie wie, ale powinien koniecznie wrócić do Bellevue, dziewczyna również. Nic więcej się nie zdarzy, szefie. przykro mi. Odejdę. Wierzyłem z całego serca, że Tracy tego dokona. Chyba tylko szaleniec może w to wierzyć. Nic więcej się nie wydarzy.

- Ale przecież zdarzyło się coś niezwykłego - upierał się Bly.

- Zbieg okoliczności - rzekł Huzinga. - Poza tym już tak bywało. Przeglądałem kiedyś stare dokumenty. W grudniu 1882 siedem godzin całkowitego spokoju. W marcu 1896 jedenaście godzin, w lipcu 1901 pięć, w sierpniu 1908 dziewięć. To nic nowego.

- Owszem - przyznał szef policji. - Ale może i wtedy zdarzyło się coś jeszcze? Może nikt się o tym nie dowiedział?

- To znaczy ..... myśli pan, że to nie koniec? - rzekł Huzinga.

- Sądzę, że to już nastąpiło - powiedział Bly. - I radzę panu nie zabierać do Bellevue tych dwojga.

- Obiecałem doktorowi Scatterowi, że to zrobię - upierał się Huzinga. - Za parę minut odwiozę ich tam, a potem złożę rezygnację.

- Nie musi pan tego robić - uspokajał go Bly. - Po co mamy wyjść na durniów, prawda? Wystarczy, że przedtem nam się to zdarzało. Powinien pan zostać w policji. To nie pańska wina. Po prostu nie udało się. Kogo to obchodzi?

- Mnie - oznajmił Huzinga.

Nagle ujrzeli Laurę Luthy idącą Warren Street.

Obserwowali wszystko uważnie. Widzieli spotkanie Tracy'ego i Laury. Patrzyli na uśmiechnięte twarze obojga. Nie mogli słyszeć ich rozmowy, ale widzieli poruszające się usta. Laura weszła po schodkach. Tracy przytulił dziewczynę i ona też go objęła. Peberdy, Ringert, Shively i Pingitzer stali obok i patrzyli na nich. Tracy ujął dłoń Laury. Nim odeszli, otworzył drzwi.

A właściwie uchylił je tylko.

Bly i Huzinga zobaczyli tygrysa Tracy'ego, który podszedł do Laury Luthy i stanął obok niej.

Była to czarna pantera. Kulała na prawą przednią łapę. Mimo to była najpiękniejszą na świecie czarną panterą.

Dwaj policjanci obserwowali Tracy'ego, Laurę Luthy i tygrysa idących po Warren Street. Widzieli, jak wszyscy troje weszli do sklepu, którego ściany obwieszane były obrazami przedstawiającymi zwierzęta.

Bly i Huzinga ujrzeli wkrótce Tracy'ego i Laurę w drzwiach sklepu. Oboje ruszyli w stronę doków, gdzie kończyła się ulica.

Policjanci zauważyli, że nie było z nimi tygrysa.

Zbiegli po schodach, wypadli z budynku, przecięli ulicę i weszli do sklepu. Splicer i Slew już tam na nich czekali.

- Który z was nazywa się Slew? - zapytał Bly.

- Ja, szefie - odpowiedział jeden z nich.

- Dobrze - rzekł Bly. - Proszę mi opowiedzieć dokładnie, co pan widział.

- Widziałem młodego mężczyznę i młodą kobietę. Weszli do środka i obejrzeni dokładnie wszystkie obrazy wiszące na ścianach - meldował Slew. - Potem wyszli.

- Nic więcej? - dopytywał się Bly.

- Nie, szefie.

- Teraz pan, Splicer - rzekł Bly. - Co pan zobaczył?

- Dokładnie to samo - odparł policjant.

- Na pewno?

- Tak, szefie.

- Wracajcie do pracy, chłopcy - polecił Bly.

Dwaj młodzi policjanci wyszli ze sklepu.

- I co pan na to? - powiedział Bly do Huzingi.

- Nie wiem - odparł kapitan. - Pan chyba widział tygrysa?

- Widziałem tygrysa na własne oczy.

- I nie zbywa mnie pan, prawda? - upewnił się Huzinga. - Widział go pan, jak pojawił się w drzwiach, jak wychodził i jak stał obok dziewczyny, zgadza się?

- Tak, widziałem to wszystko - potwierdził Bly.

- A Splicer i Slew nie zauważyli tygrysa - przypomniał Huzinga.

- Nie - zgodził się Bly.

- I nie ma go tu - stwierdził Huzinga.
- Zgadza się - odparł szef policji.
- Co się z nim stało? - zastanawiał się kapitan.
- Nie mam pojęcia - odpowiedział komendant.
- Chciałbym pójść do domu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - rzekł Huzinga.
- Wykonał pan swoje zadanie - powiedział Bly. - Dokąd pan idzie? Na mecz?
- Nie - odparł kapitan. - Wstąpię na chwilę do Świętego Patryka. A potem szybko do domu.

Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę żonę i dzieciaki.

- Dobrze - rzekł szef policji. - Niech pan idzie.

Huzinga obejrzał dokładnie wszystkie obrazy. Potem wyszedł ze sklepu. Po drodze do domu wstąpił do Świętego Patryka. Bly również przyjrzał się uważnie obrazom. Zanim wyszedł, raz jeszcze popatrzył na reprodukcję przedstawiającą Beduina śpiącego na pustyni i pochylonego nad nim lwa.

Potem opuścił sklep i poszedł do kościoła Świętego Patryka.

Tak się kończy opowieść o Thomasie Tracym, Laurze Luthy i tygrysie, czyli o miłości.